



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 17 maja 1953 r.

Nr 20 (164) Rok IV

PRZED DZIESIĘCIO- LECIEM

Partia wezwwała masy pracujące Polski do wzmoczonego wysiłku produkcyjnego. Przemysłowcy, robotnicy, podjęli to wezwanie, pociągając za sobą liczną armię. W pierwszym kwartale, dzięki rytmizacji wykonywania planów szczegółowych, przekroczono ogólny plan produkcji przemysłowej. Świadomi trudnych zadań, w obliczu ciężkiej straty jaką ponieśli kiedyś rażony śmiercią odszedł z kapitałowego mostku rewolucji towarzysza Stalina, robotnicy polscy ruszyli do kolejnego natarcia na froncie produkcji.

Rok dziesięciolecia Polski Ludowej powitają oni z dumą i godnością.

Trzeba by zastanowić się nad tym, czy i w jakich stopniach pisarstwo polskie uczucia podobne będą w roku dziesięciolecia towarzyszy. Chodzi o to, aby każdy z nas — pisarzy, rozwałzył w swym sumieniu pytanie: „co dałem w ciągu dziesięciu lat Polakom, którzy wywalczyli wolność, zdusili zbrojny faszyzm na swej ziemi, pchnęli kraj na drogę rozwoju gospodarczego, przenosząc na smutne karty historii okres półkolonialnego zafascynowania ubliżającego godności narodowej, niosącego nędzę. Co dałem braciom budującym socjalizm? W jakim stosunku pozostaje wykonana przeze mnie praca do tej, której ogrom widnieje wokół mnie?”

Jest czas na podjęcie wnikliwej analizy i oceny własnych osiągnięć lub braku osiągnięć. Jest czas na podjęcie własnych, niekoniecznie głośniejszych, zobowiązań. Jest jeszcze rok czasu przed każdym z nas — rok, w którym można napisać niemały tom prozy, sztukę teatralną, kilka dobrych wierszy, stworzyć film.

Związek Literatów i instytucje wydawnicze winny wyjść naprzeciw inicjatywie poszczególnych towarzyszy i kolegów, z większą niż dotychczas aktywnością winny śmiać się inspirować.

Myszę także, że wspaniała rocznica, którą święcić będziemy, nie zastępuje chyba na „odfajkowanie”. Powstał ostatnio przeradzający się w manierę wydawniczą zwiastujący „zbiorowych tomów”. Szusza ta w pewnych wypadkach tendencja nie może stać się obowiązującą z okazji rocznicy, nie może stać się oportunistycznym plasterkiem na „dolegliwości” planowania wydawniczego.

Mysząc o dziesięcioleciu, przebiegając w pamięci tytuły i autorów, wspominam jednocześnie o przegapieniach. Po otwarciu trasy W-Z okazało się, że budowa ta nie została trwale oznaczona w naszym piśmiennictwie, a MDM, a rosnący nad horyzontami miasta Pałac Kultury i Nauki im. Stalina?...

Mówię, bom sam nie bez winy. Wiele luk ma pisarska kronika naszego Placu Budowy. Myszę o tym często, czy zamiast sporadycznych pomysłowych w zbiorowe tomy reportaży lub opowieści noszących cechy reportażu (autentyczność) nie słuszniej byłoby założyć duży ciągowy wydawniczy, właśnie takiej Kroniki Placu Budowy, gdzie znalazłyby miejsce zawierające w sobie trwałymi wartości prace reportażowe pisarzy kronikę taką pisaćych lub pragnących pisać. Poczynania w tej dziedzinie noszą mimo wszystko nadal cechy aktywności, doradzości, cechy partyzanckie.

Wspominam o tych sprawach na progu dziesięciolecia Polski Ludowej nie sądząc, że są zbyt marginalne. Mobilizacja się dla godnego powołania rocznicy: „Dziesięciolecie Polski Ludowej” i nas dotyczy, zarówno jeśli chodzi o pracę bezpośrednio z dziesięcioleciem związane, jak i o bardziej „długofalowe” zobowiązania twórcze, owe najcenniejsze zobowiązania artysty wobec swego narodu. Warto także na progu dziesięciolecia przypomnieć i o tym, że od fabryki do fabryki po kraju biegnie hasło: „ja nie wypuszczę braku”.

Bohdan Czeszko

ALINA RYBICKA

Ludzie i książki

Syrena fabryczna buczy wysokim, spokojnym głosem. Odpowiadają jej gwizdki z kolei i hejnał z wieży mariackiej nadawany przez radio. Za drzwiami hałasuje gromadka wroble i dzieci. Teraz wiem na pewno, że dwunasta. Szybkiem, badawczym spojrzeniem obrzucam raz jeszcze czwelnę: czasopisma, krzesła — na miejscu. Szybkiem rucłem poprawiam gazetkę ścienną, która zawsze trochę krzywo wisi. Przekręcam klucz w zamku i szeroko otwieram okiennice. W drzwiach robi się tiok.

— Dzień dobry!
— Dzień dobry!
— Dzień dobry! — dziecięce głosy mieszają się z tupotem nóg. Nie mogę nadać z odpowiedzi. Dzieci szybko ustawiają się w kolejkę, nie bardzo co prawda równą i spokojną.

— Kto na dwunastą do szkoły? — pytam.

— Ja! — czyste i brudne ręce wylatują w górę.

Lekko odsuwam stojących przy samej ladzie.

— Najpierw zmienię tym dzieciom, które idą na dwunastą.

Nie jest to zupełnie ściśle określenie, bo dzwonek jest o 12.20, ale tak się w skrócie ustaro.

Szybko powstaje druga kolejka. Wyciągam rękę po książkę. „Złoty pierścień”. Zosia Maksymiuk. Uśmiechamy się do siebie.

— Podobało ci się — pytam szukając jednocześnie karty książki, karty czytelnika i szybko odnotowuję zwrot.

— Bardzo! — w głosie Zosi brzmi zachwyt. — Jak ona była najpierw taka niedobra, a potem ją wrożka zaczarowała; i ona... i jej się śniło tak, że była biedna, i...

Już teraz wiem na pewno, że książka podobała się. Jak chętnie porozmawialiśmy o niej, ale... gromada czytelników czeka i Zosienka musi iść do szkoły.

— A co byś teraz chciała?

— „Najcudniejszą piękność”.

— Niestety w czytaniu, ale jak tylko wróci zostawię ci ją, bo już długo czekasz. Co ci dać w takim razie?

— „Bajdurki”.

— Też w czytaniu. U Irki Drzewieckiej.

— Jakiej bajki.

— A „Bajki ludów nadbałtyckich” czytałaś?

— Nie.

— No to weź. Bardzo ładne.

— Dziękuję. — Zosia dyga ślicznie.

— Ale to drakus był, proszę pani.

— I tefcio Juszczak podaje mi książeczkę „Pan Maluśkiewicz i wieloryb”.

Tuwima — Na rowerze po wielorybie jeździł, a potem wbił mu gwóźdź w nos, bo nie wiedział, że to wieloryb.

— Ja to wezmę! Niech mi pani odłoży! — prosi Basia Latałówna z końca kolejki.

— Dobrze — odkładam książeczkę na wolną półkę.

— Co chcesz teraz Mieciu?

— „Pisa służba”.

Szybko, szybko... Karta książki, karta czytelnika, ołówek ślizga się po kolorowym kartonie... A jednocześnie:

— Podobało się...

— Dłaczego...

— A co teraz...

— Proszę...

— Dziękuję!

— Do widzenia!

— Dzień dobry!

Drzwi skrzypia pogodnie, podśpiewują sobie: „Jeden czytelnik...”

A teraz dwóch... jeszcze jeden... cała gromada! Ach ta dzieciarnia!

Buch — zamknęli.

Nagle zrywa się szum, kolejka pryska, kłębi się.

— Proszę pani! Waldek przyniósł „Konika Garbuska”!

— Proszę pani mniecee...

— Mniecee...

— Mniecee...

— Nie pchać się! Mniecee...

Skłębiony rój napiera na ladę, która powoli zaczyna ustępować.

Opieram się o nią obiema rękami i staję na palcach, żeby mnie lepiej było widać.

— „Konika” dostanie ten, na kogo wypada dzisiaj kolej. Bogdan Prokop.

— Ale Bogdana teraz nie ma!

— Za godzinę będzie wracał ze szkoły i przyjdzie po „Konika”.

Musi przecież być porządek.

Z tym „Konikiem”, jak zresztą i z „Najcudniejszą Pięknością”, to prawdziwy dramat w bibliotece są dwa egzemplarze „Konika Garbuska” i „Najcudniejszej Piękności”.

trzy, ale za to amatorów na te książki przeszło trzystu. Dzieciarnia

przepada za bajkami, a stosunkowo tak niewiele ich na naszych półkach; czterdzieści do pięćdziesięciu — to wszystko. A tu od siedmiolatnich smyków do piętnastoletnich podrostków słyszy się ciągle nieśmiałość.

— A może są jakieś bajki, proszę pani...

Do tych czterdziestu kilku książek z bajkami zaliczam również „Słonia Trąbalskiego”. „Lokomoty-

zuca mu pogardliwie na ladę obeszpaną i zaczytaną prawie na śmierć książkę „O młynarzu Sylwestrze”.

— Jak nie umiesz szanować książek, to czytaj makulaturę! — gniewnie wydadają wyrok. Witek stoi czerwony z opuszczoną głową. W milczeniu zapisuje „Młynarza” na jego konto.

Hania troskliwie bierze „Telefon”, zmienia obłóżki i gumką od ołówka



Foto Tadeusz Sarnecki

we” Tuwima, „Opowiedział dzieciom sówie”, „Na wyspach Bergamutach” Brzechwy, „Wesołe czyżki”, „Telefon” Marszaka, oraz wszystkie „bajeczki po 1,50 zł”, w których jest więcej ilustracji niż tekstu, i które nadają się przeważnie dla maluchów jeszcze nie bardzo umiejących czytać. Ale chłopiec z kl. III-ciej, czy dziewczynka z klasy VI żąda grubego zbioru bajek — tamte zdążyli już przeczytać. Zjawia się problem: co im dać. Kończy się na opowiadaniu o zwierzętach albo o dzieciach, ale i tego jest niewiele. Bo literatury dziecięcej jest ciągle jeszcze za mało. Dziesięć, czy nawet dwadzieścia obszerniejszych (tzn. powyżej stu stron) książek dla dzieci, które wychodzą na rok jest przysłowiową kropką w morzu, gdy licząc przeciętnie dziecko zmienia książkę obszerniejszą co drugi, trzeci dzień. Wniosek stał prosty: gdyby nawet sto pięćdziesiąt nowości dziecięcych rocznie docierało do półek biblioteki — nie byłoby za dużo.

*

„Przed ladą stoi Basia Dąbkówna z II klasy. Zwraca „Dziuple” Blanki. Nowa książeczka z kolorowymi obrazkami.

— Podobała ci się.

— Tak.

Odwijam gazetę, w którą, jak w fartuszek broniący nową sukienkę przed wszelkim brudem owinięta jest książka. Orzekliśmy kiedyś zgodnie, że najwęższy i najbardziej złoty medal za utrzymanie książeczki w czystości należy się bezapelacyjnie Basi Dąbkównie.

Przeciwieństwem jej jest choćby trochę od niej starszy Witek Sładek, który każdą książkę opieczętował swoimi dziesięcioma brudnymi paluchami.

— Niech mu pani nie daje nowych książek — buntują się dzieci. Kiedy taki brudas, to niech czyta stare podręczniki.

Witkowi jest przykro. Znowu zapomnieli. Przypomniał, że będzie mył ręce. A nazajutrz... nazajutrz przynosi świeżo przysłany z centrali „Telefon” Marszaka z pięknymi odbitkami brudnych palców na każdej kartce.

— No widzi pani! No widzi pani! — krzyczą poirytowane dziewczynki z aktywu.

— Ty brudasie! — Basia Ciociów-na zaciska pięści i czerwienieje gwałtownie.

— Dla ciebie akurat to! — Hannecka Palakówna, która opiekuje się półką z literaturą młodzieżową,

stara się delikatnie usunąć ślady Witkowych paluchów.

— Nowiutką książkę!... Nowiutką!... — powtarza z żalem.

Dzieci z aktywu bardzo dbają o „dobro książki”. Gorliwość swoją posuwają aż do przesady. Charakterystyczna była „sprawa mechaników”, która pasjonowała aktyw kilka miesięcy temu.

Z pobliskich zakładów mechanicznych przyszło zapisać się do biblioteki kilku młodych mechaników, świeżo wypuszczonych ze szkoły. Mogli mieć po 16—17 lat, przyszli w swoich wysmarowanych kombinizonach, z zasmolonymi twarzami, z rękami czarnymi od smaru.

— Co oni zrobią z książek!

— Niech im pani nie daje! — szeptały mi dzieci. Zignorowałam te buntownicze głosy. Zawinęłam żadaną książkę w starą gazetę i podałam ją chłopcu. Ręka ze śladami smaru wzięła ją ostrożnie. Dzieci patrzyły na to z wyraźną dezaprobatą.

— Dzieci! Mamy trzech nowych czytelników — robotników. Ilu to już razem...

— Dobrze, dobrze. Ale zobacz pani co oni zrobią z książek — powiedziała proroczo ponurym tonem Basia ganiąc moją „lekkomyślną” radość.

— Ano zobaczymy.

Mineło kilka dni. Zapisano się jeszcze dwóch. Czekaliśmy, aż pierwszy zwróci książkę. Basia w dalszym ciągu zapatrywała się pesymistycznie na tę sprawę — reszta dzieci też. Nadszedł wreszcie dzień mego triumfu. Zjawili się młodzi mechanicy wysmarowani wprawdzie jak poprzednio, bo szli wprost z roboty, ale książki były pozajawiane w gazetę, czyste. Spojrzałam na Basię. Zaskoczona pokręciła głową, a po ich wyjściu powiedziała niezdecydowanie: — To tak pierwszy raz. Zobaczymy co potem. Ale „potem” minęło kilka tygodni i nie się nie zmieniło. Mój triumf był zupełny.

— Książka jest od tego, żeby ją czytać — powiedziałam, kiedy omawialiśmy „sprawę mechaników”. — Lepiej, jeżeli się nawet trochę pobrudzi przechodząc z rąk do rąk, niż żeby leżała czysta i nieknięta na półce. Nie możemy odmawiać nikomu, kto o nią prosi. Rozumiecie. Co więcej, nie będziemy czekać, aż ktoś się do nas zwróci, my sami pójdziemy szukać ludzi, którym książka jest potrzebna. Wiecie co to są hotele robotnicze?

— No!

— Nasza centrala organizuje akcję mającą na celu udostępnienie książki robotnikom mieszkającym w tych hotelach. Może i my weźmiemy udział w tej akcji.

— Ale jak — rzeczowo zapytał Janusz.

Zadumaliśmy się nad projektami.

*

— Jaką książkę dać ci Jasiu? Na twary Jasia widać zniechęcenie.

— Bo ja wiem...

Gorzej, że i ja nie wiem, bo z literaturą młodzieżową jest po prostu tragicznie. NIE MAM MU CO DAC. Jaś Bialek jest w VI klasie. Przeczytał niedobitki Vernego, Curwooda i Londona, jakie są jeszcze w naszej bibliotece. W dalszym poszukiwaniu „książek z przygodami” przerzucił się na „wojenne”. Więc poszło na pierwszy ogień „Jak hartowała się stal”, dalej „Młoda gwardia”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „My ludzie radzieccy”, „Byłem partyzantem”, „Szosa Wołokołamska”, „Samoloty w walce”, „Warszawa — kurs na Berlin”, „Piechota morska”, „Droga wiodła przez Narwik”...

— Nie znudzi ci się ciągle czytać o wojnie? — zapytałam kiedyś. Skrzywił się w odpowiedzi.

— Niektóre są nudne, ale niektóre ciekawe — powiedział od niechcenia i wziął... „Ludzie o czystym sumieniu”. Skończył mi się „reperuar” książek wojennych. Jaś przeczytał jeszcze cztery (tyle ich posiadam) z cyklu „Nauka — fantazja — przygoda”, „Astronautów”, „Lema”, „Pokolenie” Czeszki i... zaczęła się tragedia. Książek jako tako odpowiednich dla niego wystarczyło zaledwie na półtora miesiąca. Z przykrym uczuciem, że coś jest bardzo nie w porządku, chwyciłam się rozpaczliwie tytułów, autorów:

— Trylogia Sienkiewicza — zna już od dawna.

— Może coś Kraszewskiego — czytał kilka jego rzeczy, ale to strasznie nudne.

W przeciągu następnych dwu tygodni zdobył jeszcze „Sześciu z Daru Pomorza” i „Piątkę z ulicy Barskiej”. A potem... zaczął brać drobne bajeczki z obrazkami.

— Dla młodszego brata — objaśnił. — Bo przecież wy tu nie macie do czytania — dodał rozgoryczony. I niestety miał rację, z tym zastrzeżeniem, że nie tylko u nas, ale i w księgarni nie znajdzie więcej książek dla siebie — bo ich po prostu nie ma.

Dramat Jasia nie jest wypadkiem odoobnionym. Jest typowy dla naszych czytelników w wieku od 10-16 lat. Zabrano im, zupełnie zresztą słusznie, całą kryminalistykę, rozmaitych Baksterów i Zane Greyów, Marcyńskich i Naselskich, liczbowo biorąc setki powieści — bzdur, a dano w zamian... kilkanaście książek, niewątpliwie dobrych i na poziomie, ale tylko... kilkanaście. Jst to stanowczo zbyt mało. W tym wieku książki się nie czyta, ale pochłania. Jak sobie radzą chłopcy? O ile się orientuję, w prywatnych, domowych bibliotekach pozostały książki, które znikły już z bibliotek publicznych i półek księgarskich. Nadal więc Karol May święci swoje triumfy przechodząc z rąk do rąk tym razem drogą prywatną, a gentleman-włamywacz Arsen Lupin otoczony jest wciąż swoich młodocianych wielbicieli. A zatem sytuacja w doborze literatury dla młodzieży niemal nie uległa zmianie: oficjalnie czyta ona kilkanaście pozycji wartościowych, a nieoficjalnie setki cowboj-kryminałów. Rodzice na ogół nie protestują przeciwko takiej literaturze. Pomijając to, że sami nieraz biorą ją do ręki, starają się tłumaczyć dobroduszenie zapalonemu bibliotekarzowi - reformatorowi:

— Myśmy sami w tym wieku czytali cowbojskie książki i jakoś nam to nie zaszkodziło. A zresztą, wie pani, ja i teraz jak wróć z pracy do domu, to taki jestem zmęczony, że nie mi się nie chce. Po czytałbym chętnie coś lekkiego, ciekawego, żeby się można było ubawić, odpocząć, jakiś kryminał, albo co...

Analogicznie przedstawia się sprawa z dziewczętami. Zlikwidowano literaturę pensjonarską. Legły w składach makulatury zaczytane na śmierć różne „Anie”, „Irenki”, „Złote Elżbie”. Na półkach zrobiło się pusto. I znowu to rozpaczliwe pytanie: co dać dziewczętom do czytania.

Karmię je jak mogę Orzeszkową, „Emancypantkami”, Górką, Goławiczynską, ale to wszystko mało,

mało, mało. I znowu, „jak przed laty”, „Dzikuski”, „Trędowate” i „Pierścienie grzechu” wędrujące drogą prywatną wnoszą do łóżek nasze dziewczęta.

*

— Proszę pani — Tereska staje na palcach i nachyla mnie ku sobie — Wydrunia przyszedł.

Rzeczywiście. Widzę go jak idzie przez czytelnik powłócząc nogami w zabłoconych buciorach z cholewami, w swojej kapocie nikajkiego koloru, ze zmierzwionymi włosami. Bierze z półki na czasopisma — „Morze”.

Wychylam się zza lady i poprzez czytelników wołam do niego:

— Dzień dobry Edziu!

Wydra ma twarz dorosłego człowieka i dziwnie niezgrabny jest ten uśmiech z jakim odpowiada mi — Dzień dobry!

Bo Wydra cały jest niezgrabny, ociężały. Ma czerstwie, czy piętnaście lat, ale w ruchach jego nie ma tej żywej zwinności. Nawet cioty, którymi hojnie szafuje, mają tylko swoją siłę uderzenia.

Ciekawa była droga, jaką przebył Wydra, nim „zaaklimatyzował” się w bibliotece. Początkowo przychodził z kolegami „robić grandę”.

Bili się w czytelnik, rzucali czapki na piec, wczeszali, smarowali po stołach, pisali głupstwa w zeszycie, w którym notują swoją obecność korzystających z czytelnik. Za hałas wyłatywali bezapelacyjnie za drzwi. Często „zabawiali się” i naczaj: stawiali na boku kolejki i idiotycznymi uwagami starali się peszyć czytelników, zwłaszcza dzieci i młodzież. Nie mogłam na to pozwolić. Biorąc czytelników w obrobie „odcinałam się” naszym domorodnym chuliganom z całą spokojną ironią, na jaką mnie tylko było stać. Z utarczek tych wychodziłam wprawdzie zwycięsko, ale budziły we mnie niesmak i zniechęcenie. Doszło wreszcie do tego, że nie po przestałam na odcinaniu się — zaczęłam sama atakować. Nawet wtedy, kiedy przychodzili pojedynczo, żeby zmienić książkę.

Dzieci z aktywu, podświadomie naśladowujące moją postawę wooc czytelników, dzielnie pomagali mi w tej, jak zdawało się, bezsensownej walce na języki. Wystarczyło, że którykolwiek z nich pokazał się — zaczynały trząskać koncepcje, jakby kto z cekaemu strzelał ślepymi nabojami.

— Skoro nie można inaczej, sterroryzujcie ich ironią do tego stopnia, że będą się bali w ogóle odezwąć — zdecydowałam.

Szedł czas. I nagle pewnego dnia zauważyłam, że ich „dowcipy” nie są wprawdzie mądre, ale na pewno przestały być idiotyczne, a moje „terroryzowanie” przerosło się w wymyślanie dobrodusze. Najmniej spodziewane było to, że dyskusja zaczęła się toczyć na określony temat — o książkach, postaciach, problemach... Przedziwna jednak była forma tej dyskusji: bardzo nieliterackich. Kiedyś zauważyłam, że skala ich epitetów jest niewielka, a słownictwo mocno „ograniczone” (drakus, frajer, konus, i niewiele ponadto). Nie omieszkałam wyśmiać tego, wyszydzić i, wyzywając na pomoc pewien felieton z „Przekroju”, „Sztukę wymyślenia” Ejzmonda, oraz uniwersyteckie wykłady z gramatyki opisowej (gdymy prof. dr M. Dłuska wiedział o czego mi się przydadzą) oliniałam ich bogactwem słów i zestawieniem słownych. A już „syn pargaronii w chrzynie” czesany wywołał po prostu entuzjazm. Chłopcy zaczęli wysłać swoją inteligencję na dowcipne określenie.

Co czytali. — Różnie. Najczęściej przychodzili z detektywistycznocowbojskimi pragnieniami. Odcho-

(Dokończenie na str. 2-ę)

W numerze:

Tadeusz Kurek — Jeszcze o reportażu; Aleksander Ziemny — Marcinia; Roman Karst — Marks wśród twórców; Anna Kamińska — Zwolennik „Złotego Środka”; Janina Preger — O pewnej ciekawej drodze poetyckiej; Jerzy Adamski — Śladami Bory; Zofia Nalkowska — Przy udoju; Tadeusz Nowak — Kawał; Ryszard Wasila — Książki o książkach i pisarzach; Marian Listowski — Ankieta koszańska.

TADEUSZ KUREK

Jeszcze o reportażu

Młody dziennikarz pokazywał mi niedawno udaną humoreskę. Był to swego rodzaju dowcipny kwestionariusz, w którym wystarczyło w odpowiedni sposób wypełnić miejsca wyropkowane (nazwy miejscowości, parę terminów fachowych i imiona bohaterów), aby otrzymać gotowy reportaż na każdą okazję.

— Wydrukowałbym to — powiedział. — Ale...

— Dlaczego? Wydrukuj.

— W tym właśnie sęk — pokiwał głową mój znajomy. — Obawiam się, że ta satyryczna recepta na reportaż jest zbyt trafna. Gdyby po przeczytaniu tego siumna do gazet i skonfrontowaniu humoreskę z rzeczywistością, analogie mogłyby okazać się bardzo uderzające...

Sprawdziłem. Miał rację.

Osobiście byłbym zwolennikiem wydrukowania tej humoreski; mogłaby ona z pewnością zaawstydzić wielu reportażystów i jeżeli tylko zmusiłaby do uczciwego zastanowienia się nad tym, co wychodzi spod ich piór, prawdopodobnie pociągnęłaby za sobą pewne zmiany na lepsze. Inna sprawa, że nie wszystkim można załatwić nawet bardzo trafną i ciętą satyrę — a o obecnym stanie naszego reportażu dalo by się ze wszech stron powiedzieć wiele.

Marian Brandys w swym artykule o degradacji reportażu (Nowa Kultura nr 16/53) poruszył bardzo trafnie kilka istotnych zagadnień. Spoglądając jednak na temat od strony literatów i adresując przede wszystkim do nich swe postulaty, pominął drugą stronę. Reportaż, literatura powstająca „na gorąco”, w temperaturze wydarzeń powszedniego dnia — związany jest najściślej z prasą. Nieporadności i schorzenia reportażu są chorobami dziecięcymi naszej prasy; linia wstępna cyfry degradacji w jego dalszym rozwoju zalega niewątpliwie od ustosunkowania się dziennikarstwa do reportażu, od stylu pracy w tej dziedzinie piśmiennictwa. Dlatego, jak mi się wydaje, istnieje potrzeba spojrzenia na temat także od drugiej strony — od strony dziennikarstwa.

Uwagi, którymi pragnę się podzielić, będą niewątpliwie fragmentaryczne, obszerność bowiem sprawy z góry wykluca wyczerpanie wszystkich zagadnień w jednym artykule. Ich dyskusyjności nie powinni mi wziąć za złe czytelnicy, gdyż możliwe najszerzej i krytyczna dyskusja może w tym wypadku przynieść jedynie korzyść.

Najpierw — o pracy reportażystów.

Brandys obszernie rozwodzi się o trudnościach, stojących przed autorami reportażu. Nie ulega wątpliwości, że praca nad reportażem wymaga niejednokrotnie większego nakładu sił niż nać jakąkolwiek inną formą dziennikarską; większego nawet niż nad pociąganiem uduchowionym w terenie opowiadaniem czy nowelą. Wynika to z tego, że „od reportażysty wymaga się prawdy nie tylko t y p o w e j, ale i k o n k r e t n e j”. Umiejętność podpatrywania życia, znajomość ludzi, umiejętność uogólniania faktów — i odwrotnie — umiejętność przechodzenia od uogólniającej formuły od konkretnego życiowego przypadku musi być u pisarza-reportażysty rozwinięta wysoko, bodajże wyżej niż u pisarza beletrysty. Równocześnie jest znana we wszystkim stykającym się z dziennikarstwem — lekkomyślność, z jaką często zabierają się do pracy reportażysty. Co więcej — można stwierdzić, że w kuliach niejak kursuje nieoficjalny pogląd, będący dokładną odwrotnością rzeczywistego stanu rzeczy. „Wystar-

czy pojechać w teren, zobaczyć i opisać jak było” — ta formuła podzorna łatwości reportażu wyznawana jest niefrasobliwie przez bardzo wielu dziennikarzy i rozszerza się w najbardziej niebezpiecznym kierunku, na młodzież reporterską.

Nie należy przecieć do rzadkości wypadek, że reportażysta wyrusza w teren, nie zadawszy sobie nawet elementarnego trudu najogólniejszego zapoznania się z zagadnieniem, o którym wypadnie mu pisać. Nic dziwnego, że na tle takiego samorozgrzeszenia powstają powierzchowne, pływające reportaże. Tak samo powszechnym zjawiskiem jest niedbałość o styl, o język — o formę reportażu. Gdyby przetrzeć prasę i to nie tylko codzienną (gdzie wiele rzeczy można wytłumaczyć pośpiechem) w poszukiwaniu oddzia danej przez Polewoja definicji reportażu — rezultat takich poszukiwań byłby zastraszający. Polewoj stwierdza, iż reportaż „ma wszystkie cechy opowiadania, noweli... Napisany jest dobrym literackim językiem... Zbudowany jest zgodnie z wzorem, według którego buduje się zazwyczaj utwór artystyczny: ekspozycja, zawiązanie akcji, jej rozwój, punkt kulminacyjny, rozwiązanie”. Czy można napotkać takie reportaże w naszej prasie? Owszem, ale należy to niestety do zjawisk tak rzadkich, że wprost wyjątkowych.

Zamiast rzetelnej pracy, otrzymujemy niemal z reguły plody łatwizny, zbudowane na najprostszych schematach: autor jedzie, autor słyszy jak „wieśniak strzela z bota”, autor rozmawia, autor o tym wszystkim pisze. Być może był to schemat odkrywczy w czasach Renaudota albo Górczyna, dziś jest o grany już wprost do nieprzyzwoitości. A jakże wygląda troska dziennikarzy-reportażystów o wzbogacenie ich warsztatów pisarskich? Wystarczy zająć się choćby sylwetką bohatera, niekoniecznie pozytywnego: z większości reportażu dowiadujemy się tylko jego nazwiska-etykiety, doklejonego do najpełniejszego papierowej postaci. Za autorem reportażu musimy przyjąć a priori, że przodownik X, względnie dojarka Y, to ludzie żyjący, nie wyciągi z rejestrow personalnych opatrzone nieodczynnym „procentem wykonania normy”. Ołbrzymie bogactwo materiału faktycznego, żywe reakcje psychiczne ludzi, wyrastające z ognia budownictwa, żywy nurt akcji — wszystko to zdaje się nie docierać do świadomości autorów reportażu, wyruszających w teren po to, aby „zobaczyć i napisać”. Reportaż — to wielkie studium bohatera pozytywnego — ugrzązł w zaklętym kręgu szablonu i zdawkowości.

Reportażysty nie wolno być zbiorokratyzowanym wyrobnikiem sztuki pisania! Pierwszą i najważniejszą sprawą dla autorów reportażu jest pełne uświadomienie sobie tego, sięgnięcie do wzorów wielkiego reportażu Kieśca, do wzorów pozostałych przez namiętnego bojownika prawdy i mistrza pióra — Juliusza Fucika.

Walka o stałe doskonalenie własnych umiejętności — oto wniosek, którym powinni kierować się dziennikarze, pracujący w dziedzinie reportażu. Tylko taki mobilizujący wniosek jest słuszny, wszystkie prowadzące do łatwizny teorii należy jak najściślej odrzucić jako szkodliwy balast. Nie można w tym miejscu pominąć ważnego elementu w kampanii o wyprowadzenie naszego reportażu ze stadium pełzania: mam na myśli pracę sekcji reportażu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. To samo, co załamują się w kategoriach szampowoci na łamach naszych gazet, pozosta-

wia wyraźny trop w tej sekcji twórczej. Jest dobrze znanym zjawiskiem, że wielu dziennikarzy-reportażystów lekcoważy sobie sekcję i nie bierze udziału w jej pracach. Z drugiej znów strony można zgłosić wiele zastrzeżeń do planu pracy sekcji reportażu, działającej dorywczo i ze znacznymi przerwami. Dlaczego na przykład do tej pory nie postanowiono zdecydowanie zagadnienia walki ze szampą, walki o to, aby słuszną polewojowska definicja reportażu nie pozostawała formułą, niesprawdzalną na łamach naszej prasy?

Po drugie — nieco o pracy redakcji.

O ile słusznie trzeba mówić o tchórzostwie redakcji, lekających się otwartego, bojowego stawiania spraw w reportażu — na co wskazał już Brandys — wypada nieodpowiednie zwrócić uwagę na drugi (a kto wie czy nie pierwszy) z grzechów głównych nas-go dziennikarstwa. Mam na myśli ów doraźnie użytkowy, oportunistyczny stosunek redakcji do reporterów, który doprowadza do masowej produkcji płytkich, szampowych pseudo-reportażu.

Wyraźnie jest przede wszystkim niebezpieczeństwo szerzenia się praktyki „szybkościowej” dokumentacji i pisania „a la minute”.

Niedostrzegający niemal, słaby wzrost młodzieży reporterskiej, wśród której niewątpliwie nie brak talentowanych ludzi, jest i musi być powodowany przez nieuniknioną konsekwencję tego „szybkościowego” stylu. Jeżeli do reportażu przykładacie te same miary, które stosujecie się do depeszy i sprawozdania, oczywiście jest, że nie będzie to podsycać pędu do równania w górę. Tymczasem redakcje często kontentują się reportażami słabymi, pracując bardzo słabo z ich autorami. Najczęściej przedmiotem krytyki, przedmiotem współpracy redakcji z autorem bywa jeszcze

dzieli z Melssnerem, Gajdarem, Sienkiewiczem. Kiedy zażądali „Krwawej hrabiny” dałam im „Jak hartowała się stal”. Zwrócili po trzech dniach. Widziałam, że się podobała, a zdanie przeciwne utrzymują po prostu dla „sportu”.

Jedni „asymilowali się” szybciej, drudzy wolniej. Wydra był jednym z tych trudniejszych. Doszło wreszcie do przełomu.

Któregoś dnia stojąc przy ladzie kinał niedbale głową w stronę czytelnika i powiedział do Janusza:

— Daj.

Januszek Piorun urwis, bo urwis, ale chłopiec uprzejmy (zwłaszcza jeżeli w pobliżu znajduje się Zosia, albo Haneczka), no a poza tym aktywista, podał mu żadaną książkę.

— Dobryś na lokaja, przyjmę cię — podziękował mu Wydra.

Ponośło mnie.

— Niewiesz, że to, że do tej pory nie znasz się na grzeczności — wycedziłam.

— Znasz stare powiedzenie o chłopie i zegarku.

Pierwszy raz zobaczyłam jak Wydra się zacerwienił.

— Nie znam — burknął niewyraźnie, ale wiedziałam, że zna. W milczeniu wziął pierwszą lepszą książkę. Czulałam się strasznie — jak Makarenko kiedy uderzył Zadorowa. Nie mogłam sobie darować, że w walce z brutalnością sięgnęłam po brzość przeciwnika.

Przyszedł po dwu dniach jak gdyby nigdy nic. Starał się być swobodny, ale zachowywał się poprawnie. Byliśmy oboje pełni poczucia winy i uprzejmością staraliśmy się zatrzeć upokarzający incydent. Powoli wszystko ułożyło się. Zaczęłam korzystać z czytelnika — zainteresowałam się czasopismami, zainteresowałam się życiem i pracą w bibliotece. Uciszałam malców, wprowadzałam szturchańcami i trzeba mi było zwracać uwagę, żeby nie rozbijał dzieci, ale widziałam, że chce mi pomóc, a robi to w taki sposób, w jaki umie. A kiedy umiał Stalin i trzeba było szybko zrobić żałobną dekorację w czytelniku, to kto się tym zajął? — Właśnie Wydra. I nikt inny nie biegł do domu to po obcęgi, to po długie gwoździe, to po sznurek, nikt — tylko właśnie on.

Któregoś dnia stwierdziłam, że kilku czytelników wyjechało nie zostawiając adresów. Książki, które zabrali ze sobą należy uważać za przepadłe.

Nazajutrz Edzio przyniósł dwie dzienne książki z obrazkami, trochę używane, ale w dobrym stanie.

— Walało się to po domu, to przyniosłem — powiedział niby niedbale, ale wiedzieliśmy, że to za tamte, które ktoś zabrał.

— Bardzo, bardzo ci dziękuję — powiedziałam gorąco. — Dziękujemy — poprawiłam się. I wtedy zobaczyłam po raz drugi, jak Wydra zacerwienił się.

Tak Edzio Wydra wszedł w aktywne życie biblioteki.

...Ocieżałam, wlokąc za sobą buciśką podchodził do lady.

— Ja poproszę ten zeszyt.

merytoryczna strona zagadnienia, uwarunkowana doraźnym zapotrzebowaniem, zaś bardzo, bardzo rzadko — strona formalna reportażu.

Z jakichże źródeł bierze się „roboczy” podział reportażu na gatunek zwykły (ten gorszy) i „literacki” (ten lepszy)? Jest tu bardzo duża doza oportunistu, sankcjonującego tym rozróżnieniem kryzys w dziedzinie twórczości reportażowej. W rzeczywistości nie ma reportażu „dziennikarskich” i „literackich”. Są reportaże złe i są reportaże dobre.

Trzeba podwyższyć próg wymagań! Walka o uzdrowienie naszego reportażu, o wyprowadzenie go na drogę właściwego rozwoju będzie toczona z niepełnym arsenałem środków, jeżeli nie wezmą w niej najczynniejszego udziału redakcje.

Nie chcę już wspominać co drastyczniejszych (dość rzadkich na szczęście) wypadków zawracania z drogi reportażu ludzi niewątpliwie zdolnych, rokujących duże nadzieje — znów dla wymienionej już oportunistycznej zasady doraźnej użyteczności dla „zapchania dziury”. Nie zawsze ważnej.

Uświadamiać sobie te wszystkie rzeczy — to mało. Trzeba zdać sobie sprawę z roli reportażu, wyciągnąć wnioski z przykładów radzieckich — słowem zabrać się do pracy nad odrodzeniem reportażu nie na papierze, lecz w konkretnej praktyce.

W końcu kilka słów o krytyce.

Można mieć nieco pretensji do pisarzy, że nie wzbogacają tej dziedziny twórczości, nie dają wzorów. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że wielokrotnie większe przewiny obciążają naszą krytykę literacką, która bynajmniej nie współdziała w kształtowaniu dobrych reportażu. Krytyka, jak wiadomo, zachowuje milczenie. Chciałabym wierzyć, że jest to milczenie pełne rezerwy, a nie lekceważenia.

Tadeusz Kurek

ALEKSANDER ZIEMNY

MARCINIAK

Trud, walka, ofiara:
łatwo powiódzić.
Ale jak odrzucić słowa ze śnieży,
żeby plonęły bólem i żarem?

Wiadomo, przekłeta woda
prze na podziemne piętra...
Lecz czyżby już zdążył osiwieć
na młodej budowie metra?

Nie! Przypatrzyć się lepiej głowie
zrosniętej z hełmem górniczym
zgaszonym żreńcem, twarzą
rzeźbioną rylcem goryczy.

Jak ciężki, kamienny osad
tkwią na dnie duszy złe lata.
Długo, dzień w dzień, zabijali
czucie i ufnosć do świata.

Cóż, pięknie nie umie gadać,
lecz lepiej niż w książce pisali
on by wam, młodzi, zdał sprawę
z tego czym jest kapitalizm.

Jednego przewróci podmuch
inny huragan przetrzyma.
Po latach ludowa ojczyzna
przyszła do swego syna.

Bracie, przez całą młodość
Choć wypiuwałeś żyły,
dla nowych, dla twoich czasów
starczy ci jeszcze siły.

Wzlot, poryw? Zostawmy słowa.
Ważny jest marsz do celu.
Musi rozdzwonić się, załusnić
napięta struna tunelu.

II grzaski sięga do kostek.
Wilgoć się wsuwa w odzienie.
Marciniak idzie z innymi
do szturm warszawskiej ziemi.

LUDZIE I KSIĄŻKI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Podaję mu „ten zeszyt”. Odczytuje do czytelnika. Słyszę jego niski głos:

— Chłopaki, wpisują się do zeszytu. Tylko bez draki, bo jak dam... Te! Gdzie piszesz...

Czy jest już w aktywie? Jeszcze nie, ale pewnie niedługo będzie.

*

Drobna, szczupła kobieta w czarnej chustce na głowie podaje mi książki. To Putonowa. Syn jej, dwudziestoletni chłopiec, jest piekarzem. Książki dobiera sobie sam korzystając z katalogu. Zmieniając najczęściej przychodzi matka. Z przyjemnością czytam jego spis książek. Znajduję się tam najcenniejsze dzieła literackie: Prus obok Szolochowa, Anatol France obok Dickens, Jorge Amado obok Balzaka i Orzeszkowa obok Górczyna. Podziwiam zawsze jego umiejętność doboru i wartościowe lektury, umiejętność, niestety dotychczas jeszcze rzadką u naszych czytelników. Początkowo Franciszek Puton należał sam. Na jedno konto brał jedną książkę. Od czasu do czasu jakąś popularno-naukową na dodatek. Potem zapisała się jego matka.

— On tak dużo czyta, że jedna książka mu nie wystarcza. Zapiszę się i ja — będzie miał dwie.

— A pani nie czyta?

— Ja nie bardzo mam czas, bo to w domu tyle roboty... ale bardzo lubię książki. Syn mi najczęściej opowiada, albo czyta, na głos.

Są to jedni z naszych najmilszych czytelników: matka i syn. Ona — drobna, zapracowana kobienka i on — młody chłopiec o wysokiej kulturze umysłu.

Bardzo mi się podobała ta książka — mówi Putonowa i patrzy na mnie dobrymi oczami spod czarnej chustki, która drobna jej twarz czyni jeszcze mniejszą i ciemniejszą. — A syn... — słowo to wypowiada miękko i ciepło. Wiem, syn nie mógł się oderwać. Czytał do trzeciej w nocy. Patrzę na tytuł: „Noce i dnie”; autor — Maria Dąbrowska.

*

...Zasuwa. To też czytelnik jakby z nieprawdopodobnego zdarzenia. Jest murarzem. Przychodzi do biblioteki prosto z budowy, ubelony wapnem od butów do czapki i prosi o... Balzaka. Tak. Właśnie o Balzaka. A jak ciekawie umie potem mówić o przeczytanych książkach! Czasem, kiedy z nim rozmawiam, zdaje mi się, że to się dzieje na filmie, albo we współczesnej powieści i to takiej, po przeczytaniu której wzrusza się ramionami mówiąc: „Mógłby autor trochę realniej przedstawić swoje pobożne życzenia”. — Realnie! Przecież sto przede mną żywy człowiek i mówi. A ja? Nie, nie jestem „pozytywną bohaterką” powieści, jestem też zwykłym człowiekiem. Cóż więc stwarza tę romantyczną, trochę nieprawdopodobną atmosferę. — Może ubranie wybielone wapnem i ręka z czer-

wonymi śladami cegły trzymająca właśnie „Ojca Górczyna”.

*

Było to na kilka dni przed Świętem Kobiet. Godzina późna, tuż przed zamknięciem biblioteki. Stała sobie cichutko i skromnie na boku, czekając cierpliwie, aż wymienię książki kilkunastoosobowej kolejce złożonej z dzieci. Dostrzegłam go w kącie.

— Proszę bardzo, pan już dość długo czeka.

Wiem, że dorośli zazwyczaj się śpieszą. Dzieci mniej; chyba że idą do szkoły.

— Nie, nie. Dziękuję bardzo. Ja zacam. I tak chciałem z panią potem chwilę porozmawiać.

Byłam trochę zaskoczona. Czego on może chcieć? Aha! Pewnie będzie prosił o wypożyczenie rocznika czasopism na niedziele.

Szybko załatwiłam dzieciarnię.

— Słucham — zwróciłam się do Gluzy. — Ale może najpierw wymienię panu książkę. Dobrze?

— Proszę...

— Proszę pani, za kilka dni jest Święto Kobiet. No więc ja zrobię ramkę na gazetkę.

Nie zrozumiałam w pierwszej chwili.

— Na gazetkę...

— No tak. Na ścienną gazetkę. O, tu stoi.

Pobiegliśmy wszyscy do czytelnika. Oparty o ścianę widniał duży kształt zdeformowany opakowaniem. Rzuciliśmy się do przecinania sznurków.

— Ostrożnie! Ostrożnie! — ostrzegał Gluza.

Spadły papiery. Artystycznie rzeźbiona, w ciemnych, prawie czarnych gałązkach kruszyny, lekka, ażurowa, z napisem „Gazetka ścienna” stała przed nami ramką — dzieło rzeczników palców Gluzy. Zaczęliśmy wszyscy mówić, a raczej przekrzykiwać się wzajemnie. Wszyscy chcieli dotknąć, choćby tylko raz, leciutko...

Gluza stał uśmiechnięty.

— Tylko niech pani nie mówi nikomu, że to ja — prosił.

Ale właśnie wtedy postanowiłam, że nie tylko powiem, ale i napiszę, bo czy w każdej bibliotece zdarza się, że czytelnik w tak miły sposób pamięta o Święcie Kobiet...

*

Czytelnicy przetrzymują książki. Kiedy nie pomaga upomnienie, przesłanie pocztą, Edzio Nowak, Stefek Kurek, Basia Ciociówna, Basia Olender biorą kartkę z upomnieniem i osobiście idą odbierać książkę. Nie jest to przyjemna funkcja, bo zazwyczaj czytelnicy tak nieczuli na upomnienia bądź ją zagubili, bądź w ogóle nie mają ochoty jej zwrócić. Toteż czwórka młodych aktywistów miewa niesamowite przygody. Któregoś dnia wpadli rozgorączkowani.

— Proszę pani! O mało miotła, nie dostałmy!

Spojrzałam z niepokojem i niedowierzaniem.

— Coście znowu nabroili?

— Posłaliśmy do tego chłopaka, wie pani, co to przetrzymuje „Dwa-

dziesiąta tysięcy mil podmorskiej żegluga”. Zadzwonił mi Otworzył ją jego matka. Pyta się czego chcemy. No to my pokazujemy kartkę i mówimy. To ona zaczęła krzyczeć, że żadnej książki nam nie da! Żebyśmy się wynosili. My jej jeszcze raz mówimy, że książka musi być oddana do biblioteki. A ona odwróciła się, złapała miotłę i na nas. A jak wymyślała! Myśmy uciekli. Poczekaliśmy trochę i jak zamknęła drzwi to Edek zaczął tak dzwonić, że mało dzwonka nie urwał — zachichotał na wspomnienie „zemsty”.

— To rzeczywiście niedobrze. Co teraz zrobimy? Chyba ja sama będę musiała pójść. Nieprzyjemna sprawa.

— My jeszcze poczekamy proszę pani. Ojciec tego chłopaka niedługo będzie wracał z roboty. Jemu powiem. Może odda.

Istotnie oddał. Okazał więcej wyrobień społecznych niż jego żona. Haneczka Palakówna (ojciec jej, ob. Józef Palak jest w Komitecie blokowym naszej dzielnicy) jedna z naszych najmłodszych i najczynniejszych aktywistek opowiedziała też przygodę w domu.

Nazajutrz oświadczyła mi z powagą:

— Proszę pani, tatuś powiedział, że jeżeli w tatusia rejonie ktoś przetrzymuje książki, to tatuś prosi o upomnienie i sam pójdzie odebrać.

*

Kończy się dzień w bibliotece. Dziewczynki okładają resztę książek; Hania robi ostatnie napisy, a brat jej Sławek, nieoceniony Sławek Palak z VIII-ej klasy, moja „prawa ręka”, wraz ze Zbyszek Zylńskim włączają zwrócone książki.

Obliczam dzienną frekwencję. Czuję na sobie zaciękawiony i niespokojny wzrok dzieci.

— Ile, proszę pani, ile?

— Dwieście jeden osób — mówię z uśmiechem.

— Dwieście jeden!

— Dwieście jeden! — wołają z zachwytem.

— Ładna cyfra — w głosie Sławka brzmi na e.

— A w zeszłym roku?

Haneczka otwiera zeszyt z zeszłorocznymi sprawozdaniami. Odszukuje miesiąc, dzień.

— Tylko osiemdziesiąt cztery.

Phi! — mówi z lekceważeniem.

Osiemdziesiąt cztery osoby — to tyle, ile jest w stanie obsłużyć dziennie jeden bibliotekarz.

Serdecznym spojrzeniem ogarniam gromadkę aktywistów. Gdwy nie oni: Sławek i Haneczka. Zbyszek i Jedrus Zylńscy. Edzio Nowak, Stefek, Basia Ciociówna, Basia Olender i Januszek Piorun. Biblioteka nasza nie byłaby w stanie spełnić swego zadania. Gdwy nie ich pomoc codziennie, systematycznie, nigdy nie potrafiałabym dokazać „cudu” obsłużenia dwustu jeden czytelników: „cudu” który ma tak realną przyczynę: zespolowa praca naszego młodzieńczego aktywu.

Alina Rybicka

UKAZAŁ SIĘ NUMER 1 (7)

„Myśli Filozoficznej”

W numerze:

ZE STUDIÓW NAD PRACĄ J. W. STALINA „EKONOMICZNE PROBLEMY SOCJAŁIZMU W ZSRR”

Adam Schafr — Zagadnienie obiektywności praw historycznych
Józef Zawadzki — O charakterze praw ekonomicznych
Stefan Ignar — Likwidacja przeciwności między miastem a wsią w Polsce Ludowej

*

Jakub Litwin — „O Partii” Bolesława Bieruta

*

Rocznica Kopernikańska

A. Ujemów — System heliocentryczny Kopernika a teoria względności
Tadeusz Przytkowski — Z dzieł heliocentryzmu w Polsce
Georg Klaus — Mikołaj Kopernik — wielki syn narodu polskiego
Andrzej Nowicki — Kocioł przeciw Kopernikowi

*

Andrzej Mostowski — O tzw. konstruktywne poglądy w dziedzinie pod-

staw matematyki

Z POSTĘPOWYCH TRADYCYJ MYŚLI SPOŁECZNEJ W POLSCE

I. S. Narski — Zestawienie Edwarda Dembowskiego

Goszczynski o „kaiolizmie” czyli papizmie

KONSULTACJE

Karol Martel — O marksistowsko-leninowskiej teorii poznania

IBELOGICZNE OBŁICZE IMPERIALIZMU

Andrzej Weber — Watykan a sprawa wojny i pokoju

RECENZJE

Jerzy Ziomek — Stanisława Łempickiego studia o polskim Renesansie

Michał Radgowski — Monografia o Dobrolubowie

*

Marek Fritzhand — Instytut Filozoficzny UW

Andrzej Grzegorzewski — Konferencja logików

Sprawozdanie „Myśli Filozoficznej” na Radzie Naukowej Instytutu

Filozoficznego UW

*

Konkurs na prace filozoficzne

Cena numeru 15 zł.

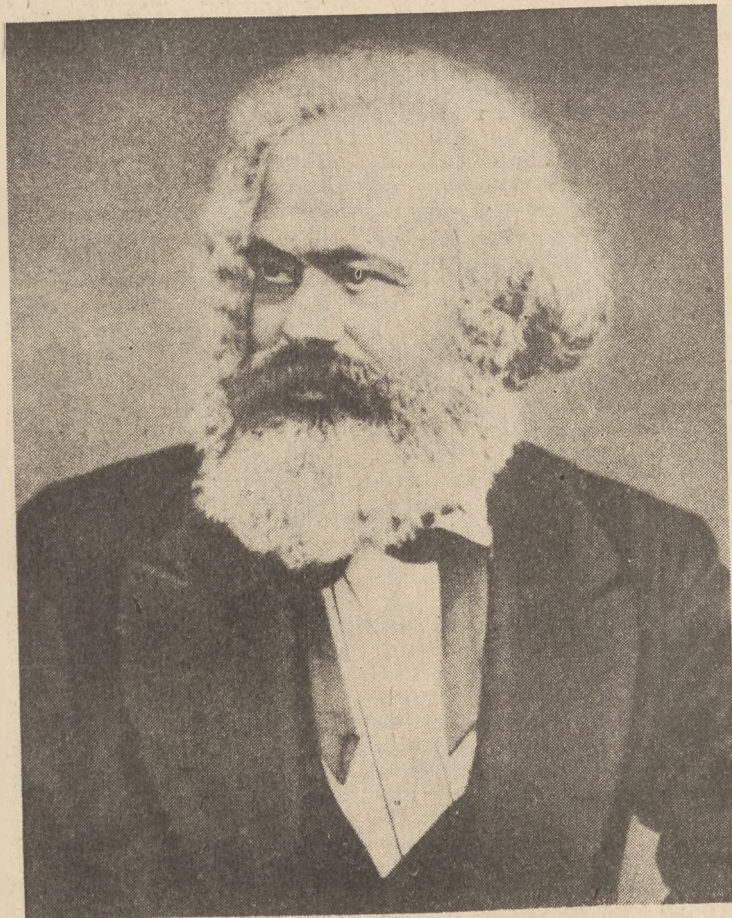
Do nabycia w księgarniach naukowych Domu Książki

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE,

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 79. Konto PKO 1-110-28504.

k 14238-1

Marks wśród twórców



Karol Marks

Wśród antologii i wyborów pism Marksa-Engelsa czytelnika nie wątpliwie zainteresuje sporządzone przez radzieckiego historyka literatury, M. Lifszica, kompendium, zawierające wszystkie uwagi i wzmianki poczynione przez twórców socjalizmu naukowego na temat sztuki i literatury¹⁾. Licząca ponad 600 stron dużego formatu książka, której tytuł brzmi: *Marks, Engels — o literaturze i sztuce*, stanowi niezwykle lekturę. Na jej kartach odbywamy podróż po niezmiernych przestrzeniach literatury przez wszystkie wieki — od Ajchylasa do Heinego, przez wszystkie kraje — od Hiszpanii do Rosji, przez wszystkie rodzaje twórczości — od publicystyki do poezji. Oprócz nauk ekonomicznych, społecznych, filozofii i polityki, które pochłaniały energię autora „Kapitału”, literatura była chyba tą dziedziną myśli ludzkiej, która najbardziej pociągała Marksa. Złożyły się na to dwa powody.

Pierwszy był natury subiektywnej. Karol Marks, socjolog, ekonomista i filozof, był też literatem. „Marks miał niezmiernie bogatą wyobraźnię poetycką; jego pierwsze eseje literackie — to poezja” — pisze w swoich wspomnieniach Paul Lafargue²⁾. Wspomnienia Eleonory Marks — Aveling, Lafargue’a i Wilhelma Liebknechta przytaczają wiele faktów świadczących o doskonałym wyczuciu przez niego piękna utworu literackiego i jego stylu. Dowodzą tego przede wszystkim utwory samego Marksa, które cechuje świetny sarkazm, ironia, bogactwo wyrazów i metaforyki. „Przy opracowaniu każdego dzieła przygotowanego przez niego do publikacji — pisze M. Glasser — dążył on do tego, by dać coś doskonałego, zarówno pod względem treści, nienagannej dokładności przytoczonych faktów i szlachetności wniosków, jak i pod względem formy i stylu, który zawsze bardzo czule i przemyślnie wielokrotnie rękopiśmiennie, aby osiągnąć jasność, prostotę i zrozumiałość wykładu”³⁾.

Marks niejednokrotnie podkreślał własne wysiłki, podyktowane dbałością o formę swoich utworów. W liście do Engelsa, datowanym z Londynu w dniu 31 lipca 1865 r., stwierdza: „Nie mogę się zdecydować na wysłanie czegośkolwiek, póki nie mam gotowej całości. Wnawierając shortcomings they may have (jakiegokolwiek mogłyby być ich braki), zaletą moich pism jest to, że tworzą one artystyczną całość, a to jest osiągalne tylko przy mojej metodzie niedoświadczania ich do druku, póki nie są gotowe w całości”⁴⁾.

Była jednak i druga przyczyna zainteresowania Marksa literaturą. Marks i Engels widzieli w dziele literackim — ze względu na jego sugestywną siłę i rozległy zakres oddziaływania — bardzo skuteczną broń agitacji polityczno-społecznej. Toteż w ocenie poszczególnych epok z dzieł Niemiec lub innych krajów dużą rolę odgrywała analiza ruchów literackich. Przytoczmy tutaj — dla przykładu — słowa Engelsa, wypowiedziane na marginesie charakterystyki osławionej „nędzy” i upadku życia społecznego w drugiej połowie XVIII wieku w Niemczech (*The state of Germany*): „Jedyną nadzieję poprawy rokowa-

zyka danego pisarza. Z ulubionymi autorami nie rozstawał się. Towarzyszyli mu oni w jego pracy i odpoczynku. „Znał na pamięć Heinego i Goethego — pisze o Marksie Paul Lafargue — przytaczał ich też często w rozmowie; stale czytywał poetów, których dobrał sobie ze wszystkich literatur europejskich; rokrocznie czytał Ajchylasa w oryginalnym greckim; czytał go, jak również Szekspira, jako dwu największych dramatycznych geniuszów, jakich wydała ludzkość. Szekspira ogromnie cenił i studiował nadwyczaj wnikliwie; znał nawet najpodrzedniejsze postacie jego dzieł (...). Dante i Burns należeli do jego ulubionych poetów; z wielką przyjemnością słuchał, gdy córki recytowały satyrę lub śpiewały pieśni miłosne szkockiego poety (Burnsa)”⁵⁾.

Jacy pisarze, jakie dzieła i okazy literackie przyciągały uwagę Karola Marksa? Lista autorów i książek, przytaczanych w różnych okolicznościach w pismach i w korespondencji Marksa i Engelsa sięga kilkuset pozycji. Marks śledził przede wszystkim rozwój współczesnego życia literackiego, obserwując szczególnie bacznie piśmiennictwo niemieckie. Przy ogromnej pracy naukowej — badawczej i społeczno — organizacyjnej zawsze znajdował czas na lekturę aktualnych publikacji niemieckich ze wszystkich dziedzin literatury. Nie ograniczał się do obserwacji, do rejestrowania wydarzeń literackich. Polemizował, ranił ostrym satyrą, rozdawał dotkliwe ciosy „berlińskim filistrom” i zwolennikom „nie-dojrzałego konstytucjonalizmu”; demaskował bezbolesne oportunistów liberalno — burżuazyjnych pismaków i pseudosocjalistów, którzy wycierali sobie gęby radykalnym frazesem; oponował przeciwko spłycaniu postępowych tradycji klasyki niemieckiej przez pisarzy mieszczańskich, zwłaszcza tradycji goethowskiej; akcentował walory rewolucyjnej poezji, chroniąc ją przed atakami kulturowi i pruską kabotyństwa. Z marksowskich debat literackich istnie perły kunsztu polemicznego stanowią jego dyskusje z pisarzami „Młodych Niemców” (*Revolution*) i *kontrrewolucja w Niemczech*), których ideologię uważał za mieszaninę „na wpół przetrutych wspomnień uniwersyteckich o filozofii niemieckiej i niezrozumiałych okrucich socjalizmu fran-

5) „O Karolu Marksie — Zbiór wspomnień i artykułów”. Str. 18.

cuskiego, a mianowicie saint-simonizmu”, dalej — utarczki z przedstawicielami „prawdziwego socjalizmu”, który na początku lat czterdziestych przeszedł na grunt miodoheglizmu abstrakcyjne idee francuskiego i angielskiego socjalizmu, przeciwstawiając walce klasowej mdły humanitaryzm i filantropię społeczną. Marks i Engels prowadzili zacięty spór z przedstawicielami tego kierunku, Hessem, Grünem i Püttmannem, a także z literatami — „prawdziwymi socjalistami” — późniejszymi autorami: Beckiem, Meissnerem, Otto i in. (Marks, Engels — *Ideologia niemiecka*; Engels — *Prawdziwi socjaliści, Socjalizm niemiecki w wierszach i w prozie*).

Autor *Kapitału* pozostawał w przyjaznych i życzliwych stosunkach z rewolucyjnymi pisarzami, wywierając niemały wpływ na ich twórczość, zachęcając ich do współpracy w redagowanych przez siebie czasopismach. Dotyczy to głównie Herwega, Heinego, Freiligratha i Weertha.



Henryk Heine

Znajomość Marksa z Herweghem datuje się od jesieni 1842 roku. W tym roku ukazał się w „Gazecie Reńskiej” słynny wiersz Herwega *Partia*, dający program społecznej, walczącej sztuki. Marks nieraz wspominał w obronie Herwega, odpierając ataki reakcji pruskiej, a nawet prasy opozycyjnej przeciwko autorowi *Żelaznego skowronka*. Z początkiem 1843 r. tuż przed zamknięciem „Gazety Reńskiej” Marks zaproponował Herweghowi objęcie

redakcji nowego czasopisma, które miało wychodzić w Szwajcarii, ale plan ten nie doszedł do skutku. „Współpraca ta nie ustała i po wyjeździe Marksa za granicę, położyły jej dopiero kres niedowarzone akcje polityczne Herwega, który uległ silnemu wpływowi Bakunina. Herwegh, nie bacząc na przestrogi Marksa, zaplał się wiosną 1848 roku w awanturniczą wyprawę grupą niemieckich rzemieślników, która wyruszyła z Paryża do Niemiec, aby obwołać je republiką (pucz okazał się zresztą prowokacją, zainscenizowaną przez policję). Wydarzenia te zamknęły polityczną działalność Herwega, zburzyły jego przyjaźń z Marksem.

Jednym z ciekawszych przyczynków do rozwoju literatury niemieckiej jest znajomość Marksa z Henrykiem Heinem. Marks przez całe życie żywił podziw dla twórczości autora *Tkaczy śląskich*, nie przyznając oczu na jego błędy i niekonsekwencje ideowe. W wierszach Heinego widział najradzykalniejszy przejaw demokratycznej literatury niemieckiej. Pierwsze spotkanie Marksa z Heinem nastąpiło w grudniu 1843 roku w Paryżu i odtąd zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. „Był czas — pisze Mehring — kiedy Heine dzień w dzień zachodził do Marksa, aby im czytać swoje wiersze i wysłuchać sądu obojga młodych ludzi. Marks i Heine mogli niezliczoną ilość razy roztrząsać drobny wiersz złożony z ośmiu linijek, dyskutując wciąż nad tym lub owym słowem i tak długo pracując i szlifując, dopóki wszystko było gładkie i z wiersza nie zniknął wszelki ślad pracy i szlifowania”.

Choć Marks był o dwadzieścia lat młodszy od poety, Heine przywiązywał wielką wagę do zdania „doktora rewolucji”, jak go nazywał. Lata 1843 — 1844, zbiegające się z okresem przyjaźni z Marksem, są czasem największego rozwoju poezji politycznej Heinego. Marks wywarł duży wpływ na *Tkaczy śląskich*, którzy ukazał się po raz pierwszy w paryskim „Vorwärts” i na wiele strof poematu *Niemcy — baśń zimowa*, jednego z najwspanialszych utworów niemieckiej poezji satyryczno — lirycznej. Pod wpływem Marksa przycicha urojo — na obawę poety przed rzekomą wrogością komunizmu dla sztuki i poezji. Powstają pełne radości i wiary w przyszłość strofy *Baśni*.

Po wyjeździe z Paryża do Brukseli zaprasza Marks Heinego do współpracy w „Rocznikach Reń-



Georg Weerth

skich”. O rozstaniu z Heinem tak pisał w liście do poety z lutego 1845 r.: „Ze wszystkich ludzi, których tu pozostawiam, utrata Heinego jest dla mnie najdotkliwsza. Chętnie bym pana zapakował i wziął ze sobą”. Przyjaźń największego myśliciela niemieckiego z poetą przetrwała wszystkie burze — tego niespokojnego czasu. W latach 1845 — 1847 Marks otrzymuje stale, za pośrednictwem Everbecka i Engelsa, wiadomości o autorze *Księgi pieśni*. W 1849 roku odwiedza ciężko chorego poetę w Paryżu. W Brukseli krzyżują się w 1845 roku drogi Marksa i Freiligratha, który udał się tam na wygnanie po ogłoszeniu swojego *Wyznania wiary*. Rok 1848 utrwała znajomość obu pisarzy i Marks powołuje Freiligratha do redakcji „Nowej Gazety Reńskiej”. Poeta wstępuje w owym czasie do „Związku Komunistów”, publikując w „Nowej Gazecie Reńskiej” swoje najpiękniejsze wiersze, pełne buntu społecznego. W ostatnim numerze pisma drukuje słynne *Słowo pożegnania*, w którym rozstaje się z czytelnikami. W roku 1851 Freiligrath, uniknawszy aresztowania, podąża za Marksem do Londynu, gdzie pozostaje bez przerwy siedemnaście lat. Tutaj rozluźniają się węzły przyjaźni między Marksem i poetą. Łączność Freiligratha z rewolucją w gruncie rzeczy opierała się na przesłankach uczuciowych. Doprowadziło to w końcu do tego, że Freiligrath opuścił „Związek Komunistów”, a potem całkowicie się oddał do walczącego proletariatu. Marks z żalem przyjął utratę długoletniego towarzysza walki.

Wśród pisarzy niemieckich, którzy współpracowali z Marksem, nie można również pominąć Georga Weertha, rewolucyjnego poety i publicysty, przedwcześnie zmarłego w 34 roku życia. Weerth, którego Engels nazwał pierwszym i najwybitniejszym poetą proletariatu niemieckiego, spotkał się z Marksem po raz pierwszy prawdopodobnie w roku 1842 w Bonn. W kilka lat później zeszyły się ich drogi w Brukseli, gdzie Weerth spędził lato w domu Marksa. Odtąd obaj pozostają w stałym kontakcie listownym, bądź też biorą wspólnie udział w różnych akcjach politycznych. W 1847 roku Weerth zasila swoimi utworami „Gazetę Brukselską” i współpracuje z Marksem przy tworzeniu demokratycznych zreszeń w Brukseli. Obydwaj posiadają w prezydium „Association démocratique”, ich nazwiska, wraz z nazwiskiem Lelewela, widnieją na manifestach politycznych owej doby. W 1848 roku Marks wzywa Weertha do powrotu do Niemiec dla podjęcia dalszej walki o utworzenie zjednoczonej, demokratycznej republiki i wznowienia w odczynnie działalności organizacyjnej wśród niemieckiej klasy robotniczej. Weerth obejmuje pracę w „Nowej Gazecie Reńskiej” gdzie kieruje działem felietonu.

Poza literaturą niemiecką Marks poświęcał wiele uwagi pisarom innych krajów, zwłaszcza Anglii i Francji. „Marks lubił — pisze Lafargue — zwłaszcza powieści z XVIII wieku, w szczególności Tomasa Jonesa Fieldinga; ze współczesnych pisarzy podobał mu się najbardziej Paul de Kock, Charles Lever, Dumas ojciec i Walter Scott. Lubił szczególnie opowiadania humorystyczne i opisujące przygody. Za czołowych powieściopisarzy uważał Cervantesa i Balzaka. Don Kichot był dlań epopeją wymierającą rycerstwa, którego cnoty stawały się w rodzącym się wówczas świecie burżuazyjnym dziwactwami i wywoływały sztyderstwo. Podziw Marksa dla Balzaka był tak wielki, iż zamierzał napisać krytykę jego wielkiego cyklu powieściowego „Komedia Ludzkiej”, skoro tylko zakończy swe ekonomiczne dzieło. Marks cenił realizm w utworach Dickensa, Thackeraya, Karoliny Bronte i Elżbiety Gaskell. Nurt ten nazwał w *Klasie średniej* w Anglii „Współczesną wspaniałą szkołą powieściopisarzy angielskich — której umiejętności i wymowne opisy oddziaływały na więcej prawd politycznych i społecznych aniżeli wszyscy politycy, publicyści i moralisci razem wzięci...”. Dar wnikliwej obserwacji społecznej podziwiał Marks szczególnie u autora

Anna Kamińska

(Dokończenie na str. 7-ej)

Sprawy nieobojętne

Zwolennikom „złotego środka”

Hasło nawiązywania do tradycji w poezji powtarzane dość długo i służące często nie czemuś ale przeciwko komuś — wydawało jak dotąd niektóre owoce o wątpliwym smaku. Było to przecież hasło bardzo zdrowe i nauka na wyraz pożyteczna. Najpiękniej i najszlachetniej wyłożył sprawę tradycji w poezji Mieczysław Jastrun pisząc o tym, że nawiązywanie do jakichś wybranych wzorów przeszłości literackiej ma zawsze wymowę ideologiczną. Nawiązywanie do tradycji w poezji świadomych twórców wyraża stosunek ich do współczesności i do przeszłości w sensie polemiki z nią i rozwijania jej idei. Bez rozumienia sensu ideowego tradycji utwory wzorowane na minionych szkołach poetyckich muszą być martwe i epigoniczne. Niestety, mądry ten głos zlekceważono. Zlekceważyli go zwłaszcza najmłodsi poeci, ci, którzy pracują jeszcze w naszych Kołach Młodych, lub dopiero z nich wyszli. Z trwożą słuchali oni krytyk kierowanych pod adresem starszych od nich kolegów. Między innymi krytykowano ich przeciw często nie bez powodu za niedbalstwo stylu, za brak poczucia języka polskiego.

„Jeśli miłoścy ojczyzny wasze budzi lútnie, Za cóż się nad iey mówią pastwić tak okrutnie?” —

powtarzano za autorem Dwóch Listów do Klasyków i Romantyków. Przyszłym młodym poetom, którzy w tym czasie siedzieli jeszcze na ławkach gimnazjalnych lub przygotowywali się do matury — cierpła skóra. Oni nie dadzą powodu do tak haniebnych zarzutów. I rzeczywiście. Najmłodsi nasi poeci są dobrzy, grzecznymi uczniami. Piszą dobrze, poprawnie, gładko. Boże wielki, wiedzą co to jest cezur, i bez wybuchów serdecznego śmiechu słuchają wywodów Ważka o trocheicznie — amfibrachicznym toku mowy polskiej, rymują nawet niegorzej, tak że można się u nich czegoś nauczyć. Ale o czym piszą, czy mają coś własnego do powiedzenia, co pobudza ich wyobraźnię twórczą, jaki obraz rzeczywistości przekazują lub usiłują przekazać o swoich wierszach? A mówimy o najlepszych, o najzdolniejszych.

Konkrety, konkrety! — wołają słuchacze. Muszą przyjść i one.

Oto pewien uzdolniony młody poeta zasiada do pisania wiersza. Ma w oczach obraz starego parku z wczorajszego spaceru, chce pisać o

nim, ale przecież musi być także i „wydzwitek”. I on nadpłynie.

Są spokojne ogrody, cieniste i senne
Nad sadzawką zarosłą rzęsą i kaczeciem.
Tam wśród plowej zieleni figury kamienne
Mają ruchy leniwe i omdlałe ręce.

Smukła Diana z kołczanem biegnąca donikąd
Zamierzonego skoku już nigdy nie ziszc,
A choć wiatr jej rysuje uda pod tuniką,
Tego wiatru już nie ma, bo cicho wśród liści.

Życie two jest podobne do takich ogrodów —
Lecz zwodniczy to spokój i nie znajdziesz szczęścia,
Póki choć raz nie zaznasz spiekoty i chłodu,
Póki uśpiona siła nie dojrzyje w pięściach...

Pod wierszem data: Warszawa, listopad 1952. I dopisek ręką redaktora: „A może Warszawa, listopad 1882?” Pomyślmy o tym wierszu. Właśnie dlatego, że jest tak gładki, tak dwuznaczny, tak spokojny i rozważnie płynący, tak wolny od potknięć, chropowatości — i tak zarazem obcy, tak — stary.

Autor tego wiersza wyciągnął swój „złoty środek” z dyskusji literackich i w haśle powrotu do tradycji usłyszał zrędlawy głos starego pseudoklasyka, który groząc paluchem tak pouczał młodych romantyków:

Lecz iezli świętey iego chcecie słuchać rady,
Łączcie dwóch szkół zalety, wyglądajcie wady,
I by samey śmiałości piękna, nadać miarę,
Wysnute z nowych myśli piszcie wiersze stare.

Stare wiersze siedemnasto- i osiemnastoletnich poetów! Są one często stare niezależnie przecież od tak naturalnej i normalnej młodzieńczej wtórności. Są one stare przez swą postawę. Nawet pięść zacisnięta w pójnie wiersza — opada bezsilnie.

Autor tego wiersza i autorzy innych podobnych wierszy hasło czerpania z tradycji narodowych zro-

zumieli powierzchownie. Ale jakich tradycji? W wierszu przytoczonym — tradycja ta obnaża się od razu. Pod maską tradycji wraca tu po prostu zwykły symbolizm, symbolizm vulgaris: oto jestem — ja, tradycja narodowa.

„Ostatni liść się waży nad tonią lustrzaną,
Zanim gnany podmuchem drogę moją przetnie.

Staw — staruszek zarosły brzęknie liść szklany
I strofami gadają drzewa tysiącletnie.

„I cóż mogę powiedzieć na ten wiatr jesienny,
Który dławi mnie w gardle bólem twoego słowa...
Ja po wiekach przychodzę, w życie swe brzemienne,
Aby w sztuce miłości ludzkiej terminować.”

Oto fragmenty jeszcze jednego, równie dobrego pod względem wersyfikacyjnym utworu innego młodego autora — na dowód, że zjawisko, o którym mówię, nie jest odoosobnione, ale stanowi jakieś typowe zahamowanie w rozwoju niektórych młodszych kolegów.

„Ale cóż, sprawa nie jest tak prosta i nie ogranicza się do warstwy stylowej utworu „Ton lustrzana” — łatwo nam wybaczyć młodemu poecie. Ale załujemy, że wiersz na progu wielkiej i pięknej drogi ludowego poety — jest już „w życie brzemienne” i nakłada sobie tak ogołnionemu, tak pozbawionemu treści zadanie „terminowania w sztuce miłości ludzkiej”.

Postawa epigoniczna, stylizatorska narzuca młodemu poecie pozę chińskiego mędra, który mówi nie mową obrazów schwytyanych bezpośrednio z brulionu rzeczywistości, nie mową własnych osobistych doświadczeń, ale mową aforyzmów, gotowych formuł życiowych, perł rozumu. Jak lubią nasi młodzi uzdolnieni poeci zwracać się w swych wierszach do młodszego o rok, dwa brata, aby dawać mu rady i pouczania, ryśować mu drogę światłaną do komunizmu, który oni, jako rzekomo już dojrzały, zobaczą tylko ich oczyma! To jest wzruszające, gdy pisze starszy, dojrzały poeta, ale nie osiemnastoletni chłopiec.

Podobna poza prowadzi niektórych młodych autorów zbyt daleko, i pod pozorem tzw. fikcji literackiej piszą oni nieprawdę; bez drżenia ręki uśmiercają w wierszu swoich bliskich lub wpisują się w roku 1952

1) „Karl Marks, Friedrich Engels — Über Kunst und Literatur”. Verlag Bruno Henschel und Sohn. Berlin 1949.

2) Książka ta jest niemiecką edycją pracy M. Lifszica, której pierwsze wydanie ukazało się w Moskwie, w 1933 roku.

3) Cyt. wg „O Karolu Marksie — Zbiór wspomnień i artykułów”. Książka i Wiedza, Warszawa 1950. Str. 28.

4) M. Glasser „O metodzie pracy klasyków marksizmu-leninizmu”. Moskwa 1931. Cyt. wg dzieła wspomnianego w przyp. 2. Str. 102.

5) Tamże. Str. 103.

JANINA PREGER

O pewnej ciekawej drodze poetyckiej

Czytając dwa niedawno wydane tomiki Witolda Włóczyńskiego: „Pisane w kraju” i „Dziennik Kożedo” a szczególnie jego wiersze ostatnio ogłaszane w czasopiśmie (zebrane w tomik „List do żony” ukazały się w tych dniach w druku w PIW-ie**) widzimy poetę w tym stadium jego rozwoju, który jest już platformą osiągnięć i z tej platformy interesujący jest widok wstecz — na przebytą przez niego ewolucję. Wiersze z poety antyrealistycznego stały się poety politycznym, oddającym swoje pióro programowi partii i pracy agitatora. Jako poeta partyjny jest dziś wybitną indywidualnością twórczą.

Droga jego jest ciekawa jak droga wspinaczki, na której każdy krok zdobywa się za cenę wysiłku i ryzyka. Może nikt z poetów zmieniających warsztat nie odrzucił w sposób tak bezkompromisowy zdobytych na dawnym stanowisku osiągnięć, umiejętności i przyzwyczajęń. Może nikt nie dochodził do takiej skrajności w walce z samym sobą.

W wydaniu w r. 1949 tomie wierszy „Sonata” pojawia autor poezję jako „sprawę — wyobraźni”, odrębność swoich wzruszeń wyrażał ekskluzywnym językiem dalekich i niesprawdzalnych skojarzeń. W tematyce dużą rolę odgrywało obrazowanie przeżyć muzyki albo snu („Poemat pisany w obcym języku”). Świat obiektywny zostawał przekształcony do niepoznania. Poeta-rozbitnik na świeżym rumowisku powojennym oddawał się kontemplacji (tomik zawiera utwory datowane jeszcze z 1944 r.). Jego pochwała pokoju chwaliła świat bez człowieka, świat z powrotem prymitywny po przegranej człowieka.

Pogląd katastroficzny na historię ludzkości (np. wiersz „Grecja zwycięzców”) dzielił wówczas Włóczyńskiego ze sporą częścią pokolenia, z apolityczną inteligencją twórczą, która przeżyła fiasco liberalizmu w „epoce pieców”. Ogromna ich większość — Włóczyński był między nimi — wybrała światopogląd, który walczy o władzę człowieka nad historią, nad nieładem chaosu, stanem do budowy świata socjalistycznego, do budowy Polski Ludowej. I już w tomie „Sonata” są utwory świadczące wyraźnie, jaką drogę wybrał Włóczyński (np. wymowny wiersz ostatni „O duchu praw nowych”). Nie przemijanie i nie twórczość są prawami historii ludzkości.

„Jest prawo nadziei i
sprawiedliwego podziału dóbr.
To jest prawo ludzkie, przed
którym śmierć się cofa...
To ono przetapia zbitwałe
żelazo w nowe konstrukcje...
A praca ludzka przeczy myśli
o przemianach.”

W światopoglądzie marksistowskim zdobył poetę narzędzie rozumienia świata i swojej roli na nim. Bystro dojrzał niebezpieczeństwa ideologii sceptycyzmu i jeden z pierwszych ostrzegł przed nim dawnych kolegów. W lutym 1949 roku napisał „Traktat polemiczny”, w którym trafnie wskazał niebezpieczeństwa tkwiące w poglądach „Traktatu moralnego” Czesława Miłosza i niektórych wierszy z jego tomu „Ocalenie” — zanim autor odsłonił swoje karty. Waga myślowa „Traktatu polemicznego” (tomik „Polemiki i pieśni”) zastępuje na podkreślenie. Wiersz dowodzi, że nie deklaratory i nie powierzchowny był jego wybór. Poeta nie wykpiwał się dociepaniem „wiechy murarskiej” do wierszy, lecz „chwycił byka za rogi”. Stał się walcem o światopogląd. I to charakterystyczne jego indywidualność twórczą, do dziś dnia poprzez wszystkie wydane dotychczas, mniej lub bardziej udatne zbiory poetyckie: „Stocznia”, „Polemiki i pieśni”, „Pisane w kraju”, „Dziennik Kożedo” — aż do „Listu do żony”, który jest zwycięstwem artystycznym pisarza na jego pełnej walce drodze. Włóczyński jest — jednym z niewielu — poetą o zacięciu intelektualistycznym. Życie współczesne jest dla niego ciekawym przedmiotem poznania, przedmiotem interpretacji marksistowskiej, żywej myśli i oceny — a nie materiałem do ilustracji gotowych haseł. To życie myśli sprawia, że poezja Włóczyńskiego jest ciekawa. Jest ciekawa nawet wtedy, kiedy łamane się z warsztatem nie dawało jeszcze autorowi zdecydowanie pozytywnych wyników artystycznych.

Łamanie się z warsztatem było istotnie dramatyczne. Pierwszy krok Włóczyński w poszukiwaniu nowej poetyki nie był szczęśliwy. Obierek temat produkcyjny nie wyszedł autor poza opisowość i nie znalazł tu możliwości wypowiedzenia się. Następnie ukazały się „Polemiki i pieśni” i „Pisane w kraju”. Odrzucając swoją dawną antyrealistyczną poetykę, liryczną ekskluzywnie osobistą, wyszukany dobór obrazów według kryterium ich rzadkości, postanowił Włóczyński „mówić rzeczy proste wprost” (tak to sformułował jeszcze na ostatnich kartach „Sona-

ty”). Tematem jego poezji staje się rzeczywistość obiektywna, społeczna, historyczna. W zakresie formy walczy poeta ze zbytnią ozdobnością obrazu i tonem lirycznym, a sięga po język relacji kronikarskiej, gazety, publicystyki polemicznej. Tak rygorystycznie pojmowana prostota zbliża się jednak do ascetyzmu ubogiej prozy („Na spadek funta”, „Koszt łodzi podwodnej”). Odczuwając od starej poetyki Włóczyński popadł w przeciwną skrajność, przegnął pałkę. Ponieważ Włóczyński ma



Witold Włóczyński

jednak zacięcie polemisty, pasję krytyczną, więc nawet i w takich utworach „jest coś”.

Włóczyński „postawił” w tym okresie na logikę. Ponieważ swoje pióro oddał sprawom walki światopoglądowej, nie dziwnego, że w jego poetyce wysuwa się na czoło myśl interpretująca, odsłaniająca logikę zdarzeń, syllogizm, który bije w o-

czy. Język abstrakcyjny czy nawet język politycznych terminów jest w takiej poezji przekonujący — i w niejedynej z późniejszych wierszy Włóczyńskiego spostrzeżemy, jak umiejętnie używa go poeta (np. poemat „Dziennik Kożedo” lub wiersz „Ułotka” ze zbioru „List do żony”).

Poezja „problemowa” bynajmniej nie musi być uboga ani oschła w formie. (Aby sięgnąć — nie porównując! — do przykładów: co się nie udało Asnykowi, stanowiło często, nie zawsze, ale często — siłę poezji Norwida). Jeśli takie były pierwsze kroki Włóczyńskiego na drodze jego poezji socjalistycznej — to tylko dlatego, że sparzywszy się na gorącym zaczął dmuchać na zimne. A bynajmniej nie dlatego, aby — jak przypuszczał Błonski — cierpiał Włóczyński na jakiś niedowład obrazu, brak wrażliwości na konkretność; swoje możliwości w tej dziedzinie wykazał dostatecznie przekonująco niegdyś w arabskich „Sonatach”, a teraz w nieprzeciętnych lirykach, zebranych w „Listu do żony”. (A nawet musi Włóczyński stać walczyć z niebezpieczeństwem fascynacji przez obraz: z niebezpieczeństwem statycznej opisowości widocznej np. w „Stocznia”, a ostatnio w „Piecowym Jaszczyszczyźnie”. Surowa zaś poezja niezbyt argumentacji jest niewątpliwie dobrą poezją, o ile tylko jest dojrzała. Przykładem tego jest — programowy w tomie „Polemiki i pieśni” — wiersz Brechta „Pieśń o wrogu klasowym”, przełożony przez Włóczyńskiego.

Ale nawet i w tym okresie „dmuchania na zimne”, zamierzonego ascetyzmu — i niezamierzonych niedociągnięć nowej formy, której jeszcze nie opanował, w tym okresie, gdy jego prostota sąsiadowała istotnie z prymitywizmem lub nie-

zręcznością — pisał Włóczyński rzeczy wybijające się ponad przeciętność. To trzeba powiedzieć o wspomnianym już „Traktacie polemicznym”, w którym ponad taką czy inną formę — zwraca uwagę postawa myślowa autora. Jak to utwór najwybitniejszy w tomie „Polemiki i pieśni”.

Włóczyński widzi zagadnienia tam, gdzie one są, to charakterystyczna cecha jego poezji, i dlatego nie nudzi ona czytelnika. W tomie „Pisane w kraju” najwybitniejszą pozycją jest poemat „Towarzyszom niemieckim z Marienwerda”. Artystycznie był to duży krok naprzód na drodze nowej poetyki Włóczyńskiego. Utwór mimo pewnych kronikarskich dźwięków ma mocną wymowę. Jest to autobiografia ideologiczna jeńca obozu hitlerowskiego. Poemat opowiada o dojrzewaniu świadomości politycznej polskiego inteligenta pod wpływem współzycia z niemieckim komunistą, uwięzionym w tym samym obozie i zameczonym przez hitlerowców. Autor podjął jedno z bardzo istotnych zagadnień: stosunek uczuciowy Polaków do NRD, i pokazał z dużą siłą przekonującą humanistyczną treść internationalizmu. Proces przełomu duchowego mieszczańskiego inteligenta ukazał Włóczyński w sposób nieszlachetny. Wierzymy, że obozowe doświadczenia i przyjaźń obozowa mogły być tym fermentem, który wywołał proces przeobrażenia, dojrzewania świadomości. Okoliczności bywały takie lub inne, wiemy jednak, że ten proces przeszło wielu. Opowieść poetycka Włóczyńskiego jest opowieścią o jednym z „bohaterów naszych czasów”, inteligencie, który znajduje drogę.

Ciekawej tematyce poezji Włóczyńskiego można by jednak postawić pewien zarzut: tak się składało, że dominowały w niej sprawy obce nad

sprawami kraju. Ale ta dysproporcja była przejściowa. Ostatnie wiersze pokazują, jak głęboko jest poeta zaangażowany w sprawy krajowe (np. cykl „Wiersze z kampanii wyborczej”).

Jest jasne, że taka tematyka, ideowa, polityczna charakteru, tej poezji musiał zostać wyrażony w formie, która by nie podrywała głoszonej treści. Włóczyński podjął swoje poszukiwania realistycznej formy z większą pasją, niż to czyniło wielu jego kolegów. Dość długo mogliśmy u poetów tego pokolenia obserwować rozbrat nowej treści i dawnej formy. Włóczyński był konsekwentniejszy. Z bezkompromisowością odrzucił wszystkie dawne osiągnięcia (a nie wszystko było do odrzucenia) i — zaczął od początku. Faktem jest, że pragnąc radykalnie przekuć swój warsztat męczył nie raz i swój wiersz, i czytelnika. Dawniej uprawiał biały wiersz stycznicowy o długiej frazie poetyckiej. Teraz posypała się litania zwrotek o krótkim, siekającym wierszu. Czasem taka forma istotnie wyraża prostotę, bezpretensjonalność, wtedy przemawia do nas. Spośród takich strof w poemacie „Towarzyszom niemieckim...”. Ale zdarza się niestety, że wynika z tego rytmu jakaś niezamierzona skoczność, katarinowość. Przy tym nadużywanie tej formy prowadzi do monotonii.

Wyzbycie się kontroli w doborze obrazów — a właściwie wyzbycie się obrazów na rzecz nieselekcyjowanych utartych epitetów i w ogóle zużytego słownika — również było nieporozumieniem. Realizm — to trafność, a nie szablonowość języka (porównajmy przysłówia ludowe, których słownik „grzeszy” raczej dosadnością, niż komunałem). Włóczyński dla dobra swojej poezji myśli! powinien zważyć skłonność do superlatywnych zwrotów re-

rycznych: „burza dziejów”, „droga wielkości”, „potężne drzewo”, „rozpalone słowo” („Pisane w kraju”, str. 5); „proporce zwycięstw”, „połoga snów”, „myśl skrzydłata”, „siła niespożyta”, „plomienie gwiazd”, „kłębowista mgławica” (ostatnie strofy „Listu do żony”).

Poezja nie zatrzymała się na etapie realizmu pojmowanego jako ubóstwo lub ograniczenie się tylko do środków „pieśni gminnej” jako pieśni agitacyjnej. Poemat „Dziennik Kożedo” i ostatnie wiersze pokazują czytelnikowi już nie cenę, jaką pisał poeta za swoje poszukiwania, lecz nagrodę tych poszukiwań — dobre osiągnięcia poetyckie. Rozwój poety doprowadził go do pełnej, niezubozowanej formy poetyckiej. Prawdziwy i słuszny obraz świata potrafi teraz Włóczyński oddać zarówno w lapidarnym dramatyzmie prostoty („Dziennik Kożedo”) jak i w przywróconym do należnych mu praw szczególnie konkretnym obrazowaniu, osobistym tonie lirycznym („List do żony”). I w doborze form rytmicznych porzucił poeta monotonię krótkich „siekanych” wierszy, utwory mają „pełny oddech”.

Wspomniawszy dwa ostatnie tomiki Włóczyńskiego, które interesujący pisarz, który walczył z trudnościami warsztatu bez szczególnej zachęty czy uwagi „wiodło” (tomik: jego niesłusznie przechodził jakoś „bokiem”) — owarł sobie drogę. Mamy w Włóczyńskiego jednego z najwzrostszych i niepowierzchnowych poetów politycznych, dobrego poetę politycznego i zdolnego liryka, „stop” godny uwagi.

Kiedy przyglądaliśmy się tomikom Włóczyńskiego, dostrzegliśmy, że w każdym znajdował się jakiś większy, godny uwagi, utwor. Każdy przynosił wybitnych zaciekawiały nas przedzie oryginalne obserwacje, jakieś własne sęgnięcie po materiał, uwaga pisarza, z jaką przyglądał się sprawom ludzkim i badał ich sens. Nie przechodził obojętnie koło notatki dziennikarskiej lub wypadku, nie widział w nim tylko przypadkowości. Samobójstwo marynarza polskiego przy wejściu statku do macierzystego portu, popełnione z przyczyny zawodu miłosnego, to nie rzecz obojętna, to rzecz odpowiedzialności człowieka. Toteż poezja polityczna Włóczyńskiego interesuje.

Czy Włóczyński odkrywa jak Ameryki? Nie. Jest tak, jak powiada w swoim wierszu (poemat „List do żony”). Jest agitatorom partyjnym:

Powtarzamy słowa mądrzejszych od nas. Ale
Powtarzać takie słowa — to także
jest zaszczyt.

Pisze wiersz ułotkę dla wyborców Frontu Narodowego, pisał o walce klas podczas agitacji w terenie, o współzawodnicztwie i solidarności pracy w fabryce szczecińskiej, o mikroskopie dla nauczyciela. Przy tym zaś dzieli się z nami swoim wzruszeniem — i to jest liryka. Głosi rzeczy znane o przyjaźni z żołnierzami armii radzieckiej, pamięć wspólnych walk o wyzwolenie przy Wale Pomorskim, przyjaźń dla walczących o socjalizm na całym świecie: dla niemieckich komunistów, zameczonych w obozach hitlerowskich, dla Koreańczyków walczących za drugimi obozami Kożedo, dla uwiecznionego żołnierza greckiego i dla aresztowanego francuskiego komunisty. Ale każda z tych spraw widzi indywidualnie, nie ogólnikowo. Rzecz przestaje być hasłem z plakatu, gdyż napelnia ją życiem obserwacja pisarza, lub wspomnienie albo myśl czy sens, który go uderzył w zjawisku.

Błonski mówi o „konceptyzmie” Włóczyńskiego. Słuszna była w tym stwierdzeniu obserwacja, że wiersze tego poety opierają się zazwyczaj na jakimś bardzo konsekwentnie przeprowadzonym pomysły konstrukcyjnym. Niesłuszny był tylko wniosek, jakoby to była wada poezji: Włóczyński, jakoby to była wada odrzucać od konkretności, czynić ośchłą i „wymazaną w mózgu”.

Ten czynnik myśli konstruktywnej w poezji Włóczyńskiego odczuwa czytelnik jak element ożywczy, którego wcale nie ma za dużo w naszej współczesnej produkcji poetyckiej (można przypomnieć chociażby podaż stylizacji na ludowość, która rzekomo uwalnia od logiki, można przypomnieć licznosc słów i mglistość sensu w niejedynej ładnie „brzęczącym” wierszu nastrojowym). Polega to na tym, że poeta znajduje w zjawisku jakiś moment ważki, charakterystyczny, symboliczny — i z niego czyni pomysł konstrukcji swego utworu. Nie pozwala więc rządzić przypadkowym zasadom kolejnośc: czy opowiadanie w relacji wiersza, lecz chwytą sam nerw sprawy, objaw, w którym najwyraźniej się zdradza istota sprawy dla oka poety-polityka. Cóż w tym sztuczność? To nie sztuczność, tylko właśnie — sztuka, artystyczny Myśl, koncepcja jest tym, co sprawia, że poezje Włóczyńskiego, zatrzymują uwagę czytelnika i każą mu czuć, zmuszają do zajęcia stanowiska Kogo te wiersze nie agitują — tego muszą irytować. Obojętne ich czytać nie można. To myślenie widzenie — a nie patrzenie bezmyślne — zawarte w utworach Włóczyńskiego, daje zadowolenie czytelnikowi. Myśl, pomysł, objawienie cięsa czytelnika, bo są objawami twórczości. Nie odczuwa się w tym bynajmniej sztuczności i jakichś rusztowań, które by należało „ukryć” dla lepszego wrażenia utworu, jak sugerował Błonski. Nie tu nie zakłada bezpośredniości odczuwania.

JERZY ADAMSKI

W ślady Boya

Jest to „Lucjan Leuwen” i „Nieznane arcydzieło” wraz z „Eliksirem życia”, „Melomouthem pojednanym” i „Albertem Savarusem”. W latach następnych nie tłumaczone dotąd na polski arcydzieła obu tych olbrzymów dziewiętnastowiecznej literatury francuskiej staną się głównym ośrodkiem zainteresowania i twórczości Rogozińskiego. Stanie się on w ten sposób kontynuatorem Boya, dając przede wszystkim do uzupełnienia tych pozycji, których brak jeszcze do pełnego polskiego wydania „Komedii Ludzkiej”. Lecz myśl o kontynuowaniu Boya prowadzi Rogozińskiego dalej, niż mógł być to sam przewidywać, prowadzi w jego twórczości do dalszego, bardzo znamiennego, rozszerzenia horyzontu: tłumacz zabiera się w tym samym okresie również do przekładów publicystyki Oświecenia francuskiego. Powstaje przekład Woltera „Listów o Anglikach” oraz „Pogawędki i dialogów”.

Po tym krótkim, ale płodnym okresie następuje cztery lata, rok 1950, 51, 52 i 53 wypełnione są dalszą pracą przede wszystkim nad Stendhałem i Balzakiem. Spod pióra Rogozińskiego wychodzą przekłady takie jak „Różowe i zielone”, „Pamiętnik szlachcica włoskiego”, „Feder”, „Listy dwóch młodych mężatek”, „Tajemnicza sprawa”, „Deputowany z Arcis”, „Czerwona obozowa”, „Dramat nad morzem”, „Urszula Mironet” i „Szuanie”. Równolegle kontynuuje Rogoziński pracę nad osiemnastowieczną publicystyką francuską i daje przekład Diderota „Myśli filozoficzne” i „Myśli o interpretacji natury”. Związany już teraz ściśle i całkowicie z realizmem, mniej więcej równocześnie z pracą nad publicystyczną prozą Oświecenia podejmuje w tym okresie Rogoziński arcytrudne zadanie: przygotowuje przekłady starofrancuskiej powieści realistycznej. Tłumaczy najpierw Lesage’a „Przypadki Idziego Blas’a”, potem autora siedemnastowiecznego Scarrona „Ucieszne przygodki komediantów”.

Takie oto, pokrótce, są dotychczasowe dzieła przekładów Rogozińskiego, zbierające na drodze swego rozwoju rozmaite doświadczenia artystyczne. Charakterystyczne dla tego rozwoju jest to, że postępuje on od najbliższej współczesności do dalekiej przeszłości; zaczyna od razu od doświadczeń formalnie bardzo trudnych, od przekładów poezji, które w pełni ukazywały mu całą komplikację i zawziętość arkanów sztuki przekładu, by odrzuciwszy następnie formalistyczne zainteresowania przejść do arcydzieł realizmu i do odległych jego tradycji w literaturze francuskiej. Taką drogą rozwijała, pomijając to wszystko co może być przypadkowe, nauczycia Rogozińskiego w pełni wykorzystywać nabywane kolejno doświadczenia artystyczne i coraz głębiej, coraz lepiej rozumieć zarówno cechy charakterystyczne różnych wielkich

epok literackich i różnych autorów, jak i same założenia prawdziwie realistycznej konstrukcji literackiej.

Wyraża się to najpierw w nabytej powoli przez Rogozińskiego umiejętności indywidualizowania swoich przekładów w zależności od owych cech charakterystycznych różnych epok literackich i różnych autorów; wystarczy zestawień przekład XVII-wiecznego Scarrona z tłumaczeniami Balzaka, żeby ujrzyć trafną indywidualizację stylów przekładu Rogozińskiego. Różnica między tymi przekładami jest taka, jak między „kolebką” a „dyliżansem”, jak między plebanem i kapłanem, „odebrał” był od umyślnego z Paryża dla jednego z bliskich przyjaciół, szlachcica. „a stangretiem siedzącym „na kozle takim jak w najgorszych paryskich dryndach...” Innymi słowy mówiąc indywidualizacja tych przekładów polega na bardzo umiejętnym doborze słownictwa i konsekwentnym utrzymaniu przywróceniu z góry rytmu zdania. Zarówno dobór leksykalny jak i rytmika zdań są w tych przekładach całkowicie różne. Zauważając tu wypada, że Rogoziński indywidualizując swe przekłady tak, aby różnica między XVII-wm a XIX-wm wiekiem była jakos uchwytana, tylko w bardzo nieznaczny i nieuchwytany sposób przelaguje się archaizacja, unika zwłaszcza, i słuszenie, archaizacji najłatwiejszej i najłatwiej przerażającej się w maniere, a mianowicie inwersji. Znaczenie jednak trudniejsze ma przed sobą tłumacz zadanie, gdy pragnie tą samą metodą zindywidualizować przekłady z autorów bliższych sobie w czasie. Rogoziński i tu stara się przede wszystkim wysiedzieć i oddać subtelne różnice w rytmie i wyrazne różnice w słownictwie. Daje on sobie znakomicie radę z tysiącem pułapek i trudności czających na tłumacza wszędzie tam, gdzie autor oryginału posługuje się idiomem, paradoksem, grą słów, przymiotem, gwara. Tak Stendhałowskie „physionomie a la mode” tłumaczy jako „modne dziecię wieku”, tak Balzakowskie dosłowne „jak stary przypasowywał się do stanu trupa” tłumaczy: „jak to pospolicie u starców bywa trupieszka czekając aż obróci się w trupa”; tak Vallésowe dowcipy z gwara owerniańska, która mała stara się nie postugiwać, ale grozi czasem, że do niej wróci, Rogoziński oddaje pisząc: „ojciec czuje się między młotem a kowadłem, między „sztatutą” a „krydensem”.

Wszystkie te jednak walory i zalety przekładów Rogozińskiego, dozwolnie i pomysłowo pokonywanie typowych trudności, umiejętność indywidualizowania w zależności od epoki i autora, dbałość o rytm i dobór słownictwa, potoczność opisu i elastyczność dialogu, subtelny rysunek portretu i przejrzysty tok rozumowania, wszystko to uduje mu się dlatego, że Rogoziński pojmując przekład artystyczny jako swoisty sposób interpretowania oryginału. Rozumie on, że w prawdziwym artystycznym, prawdziwie realistycznym dziele literackim istnieje jakaś jedna, konsekwentnie przeprowadzona, zasada stylistyczna, która w pełni odpowiada ideologicznym



Julian Rogoziński

założeniom, ideologicznej wymowie utworu. Odnalezienie tej zasady w oryginalnej i wyszukanie dla niej odpowiednika w polskim tworzywie językowym — to dopiero umożliwiła przeprowadzenie świadomej, z góry określonej, a potem konsekwentnie utrzymanej interpretacji oryginału w samym stylu, w samym języku tłumaczenia, to dopiero wskazuje właściwe kryteria zarówno doboru słownictwa, jak i rytmiki zdań, zarówno sposobu pokonywania typowych trudności, jak i granic swobody i pomysłowości tłumacza; to dopiero tworzy podstawę do realizacji prawdziwie artystycznego przekładu. Tak np. dzieje się z woltierskimi „Listami o Anglikach”, które przeznaczone zostały przez autora do odegrania roli broszury agitacyjnej. Wolter postanowił wykorzystać Anglię jako argument w swej walce przeciw feudalizmowi, musiał więc przedstawić burżuazyjne życie angielskie w sposób jednostronny, wyidealizowany, powierzchowny, dowcipny, lekki i efektowny, aby jego opis mógł trafić do wszystkich i spełnić rolę agitacyjnego argumentu. Ten zamiar agitacyjny, ta ideologiczna zasada, narzucała również Wolterowi zasadę stylistyczną, jedną, konsekwentnie przeprowadzoną w całym dziele. Przekład Rogozińskiego umiał wydobyc na jaw tę zasadę, pokazując ją w swej szacie stylistycznej.

Z tłumaczami jest tak, jak było i z aktorem. Długo można nie dostrzegać, że ma się tu do czynienia z twórczością: aktor powtarza przecież słowa utworu, który napisany został przez kogoś innego; dopiero gdy pokaże on na scenie swoje własne twórcze rozumienie, swoją twórczą interpretację cudzego dzieła, wtedy widać, że jest on także artystą, często niemięjszym od poety-autora.

W chwili, gdy Julian Rogoziński pracuje nad kolejną, dwudziestą trzecią pozycją swego dzieła przekładowego, widać już wyraźnie, że jest to niepoślednie miary artysta o skrytalizowanym obliczu i jasnym kierunku swego dalszego rozwoju.

Jerzy Adamski

Janina Preger

*) Witold Włóczyński: Pisane w kraju, Warszawa 1952, „Czytelnik”, str. 58 i 59; Dziennik Kożedo, Warszawa 1952, wyd. Min. Obr. Nar., str. 29 i 31; ilustr. Ignacy Witz; List do żony, Warszawa 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 35.

**) Jedną z pobudek napisania niniejszej recenzji była właśnie moja praca jako redaktora nad przygotowaniem do druku „Listu do żony”. Przyznaje się do tego na tym miejscu w przekonaniu, że redaktor, korektor i recenzent mają prawo nie tylko do przychylnych funkcji walki z chłochliwymi drukarskimi, interpunkcyjnymi itp., lecz także do wyrażania satysfakcji z powodu „dobrej roboty” literackiej, która trafia w ich ręce.

*) W druku.

**) Cztery ostatnie pozycje Balzaka i powieści Scarrona — w druku.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Przyduj

Fragment z drugiego tomu „Węzłów życia“

Jednego z tych pogodnych zmierzchów, gdy Agata jak zwykle była przy udoju i z dbałością teraz jeszcze o czystość i higienę, odmierzała ilość mleka, którą poza potrzebami dworu można będzie odprzedać uchodźcom, osiadłym w miasteczku i we wsi — znowu nawiedziły ją te myśli. Myśli uparte, powracające od młodości, powtarzające się w różnych czasach, w różnych układach życia. Tu właśnie, gdzie bezustannie coś się działo, gdzie w jej oczach i tokiem jej świadomości — z tym płynącym tłumem ludzi — przetrząsały się poranki i wieczory dni, pełnych jak epoki. Była wciąż między ludźmi — w tym stopniu przesyconą nimi, jakby już przestawała być sobą. Jakby się na tym kończyła.

Myślała: nie tylko tematem mojej świadomości są ludzie. Są przecież natężeniem, kolorem i barwą wszystkiego, co czuje. Od resztek nadziei do samej rozpacz — oni wyznaczają mi każde targnięcie serca, dają wiedzę o kłesce, są jej przedmiotem, jej najgłębszą treścią. Ich los. Myślała: czyż nie tak było zawsze? Nawet gdy — jak się mówiło — najbardziej „żyła sobą“, gdy usuwała się nawet od najbliższych, od męża i córek. Gdy egoistycznie obchodziły ją tylko „własne sprawy“, gdy zaszywała się z książką w głębi pustego domu czy w zamkniętej za ostatnimi czytającymi bibliotece. Książka, muzyka, obraz — to są przecież tylko środki porozumienia, to są zwierzenia wzruszeń i odkryć człowieczym, budzonych poznaniem wzajemnym i poprzez nie — poznaniem świata, wyznaczonym nam odcinkami naszych biografii, to są sposoby, aby przekazać siebie innym. Żyjąc — bierzemy w siebie wciąż dzieje innych — widziane, mówione, wymalowane, wyspiewane, utrwalone literą druku, znakami... stwardniałe w budowlach, rzeźbach i pomnikach. Jesteśmy wciąż nasyceni tym życiem cudzym, nabrzmiali nim, nim mądrzy, nieustannie wijący się w dzieje własne...

Gdy tak myślała robiła zarazem swoje — sprawnie i gorliwie, z każdym wymienianym jakimś słowem — dostawała niespodzianie tę wiadomość o mężu.

Co prawda czekała na nią, można powiedzieć, każdego dnia. Nie przestawała czekać. Ale nie myślała, jaka będzie, nie oczekiwała wcale, czego się dowie. Nie ustawała nic przewidzieć, nie odgadnąć.

To co ich dzieliło, zostało przywalone przez tak ciężkie zwaliny wszelkiej ruiny, wszelkiej kłeski — że mogli przecież jeszcze zejść się pośród tej roztraskanej rzeczywistości jak ludzie dawniej sobie najbliżsi.

Miała przed sobą jak co dnia tłum różnorodny wyczekujących na to mleko ludzi z dzbankami, bankami i butelkami. Nie zauważyła między nimi niewielkiej, zmiętej, z opuchniętymi powiekami kobietki. Nie widziała jej dotąd, co dnia ktoś nowy się to zdawał, a mleka i tak było za mało.

Ale nowoprzybyłej nie szło o mleko. Szło jej o to, że chciała się wiedzieć z pania generatową Wysocką. Ze to sobie ma za obowiązek jej wszystko prawdziwie opowiedzieć, że po to tylko tu przysła. I zapytała Agatę, czy to jest ona.

Jak inne powiedziała, że idzie z daleka, że się tak w tej drodze zmarnowała, że się naprawdę do niepoznania zmieniła. Ze po prostu ze znajomych nikt by jej teraz nie poznał. I dodała, że już sama nie wie, co to takiego się na świecie dzieje.

Mówiąc zamykała mocno i znowu otwierała powieki, brudną chusteczkę przyciskała do ust i do oczu, w których wreszcie ukazały się żył. — Umyslnie przyszedł — Umyslnie przyszedł — Umyslnie przyszedł aż tu, żeby panią generatową znaleźć.

— Zaraz porozmawiamy — uspokoiła ją Agata, dalej robiąc swoje.

— A czy to prawda, że tu jest we dworze taki starszy pan, taki profesor Dziańwa?

— Jest.

— To ja i do niego mam coś powiedzieć.

Agata liczyła drobne pieniądze, wymieniała jeszcze jakieś ostatnie słowa z kupującymi kobietami. Była w tej chwili najdalsza od myśli o tym, co miała usłyszeć. Właśnie pani Ciwiska mówiła jej, że oto już ostatni raz płaci za mleko, że skończyły się jej pieniądze, a nowe nie wie wcale, kiedy będzie miała. Bo skąd? I upominała swego synka, żeby się nie bawił z dziećmi ze stodoły, bo są brudne i mogą być chore.

W tym wilgotnym ciepłym wieczorze znikane twarze ludzi zgromadzonych na podwórzu zszarzały, szare były za nimi ślasy budynków gospodarskich, studnia z żurawiem i kołwem dla bydła — wszystko zamknięte w głębi dąga, popielatą, poząciakaną ścianą tęstodoty, krytej niewiele ciemniejszymi gontami. W stodołę nocowali już gromadnie nowi uchodźcy, nadciągający wciąż od strony Warsz-

wy i mówiący rzeczy coraz gorsze. Ze już po wsiach nic nie można dostać, że wszystko przez ludzi wyjedzone do cna — wszędzie głód.

Widziała także te dzieci, przed którymi ostrzegala staroscina Ciwiska swego synka. Wiejskie, opalone mizerne dzieci o jasnych bardzo włosach, o oczach rowaznych i ciemkawych. Te tutaj przypominaly tamte dawne z młodości, przetracajace sie ich nierzeliczone mnostwo z roku na rok w szkole wiejskiej. I w ystko zwiazane z tamtym czasem, tak pelnym nadziei i zludzen, pelnym znowu ciuziego zycia, jakby bylo wlasne, dziecie sie we wzruszeniu najglebszym i w zachwycie. Dzieciela sie z nimi zadziwiajaca umiejnoscia pisania, wtajemniczyla je w symbolike elementarza, te niewielu znakami zamkniete, zdumiewajaca ludzka zdobycz.

Co bylo dalej? Dzielenie sie tajemnicza mowy, wywiedzionej ze szczebiotania plakow, z rzenia koni, ryku bydla, psich poszczekiwan. Przezywala w wczas co roku na nowo z ta uwazna, surowo patrzaca gromadka wiejskiej dziatwy owa dziwnosc nieprzejrzana, ze z zametu okrzykow, wezwan, hasel, sygnalow urasta zorganizowany, mady system mowy czlowieczey. Ze jest slowo na milosc i nienawisc, na zlo i dobro, na radosc i zal. Jest slowo na przynies i daj, na podziwgnij, na odejdz i przybadz, na badz i zgini. „O, dziwo, a coz za dziwo“, jak mowil juz wtedy Dziańwa.

Z zachcen, ze wspomnien, z tesknoty i oczekiwania, ujawnionych glosem i roznymi sposobami wyodrebnienia, wzmozczenia i otamowania jego dzwieku — urasta cos, w czym jest podmiot i orzeczenie, czas majacy nastac i przeminiowy. Powoli, opornie, jednak cala rzeczywistosc daje sie nazwac i orzec, daje sie nazwac nawet zycie i smierc.

Nieslychany fenomen swiadomosci, uwieziona w doznaniu i myslu, wydana w glোসie i jego przemyslynych drganiach rzeczywistosc trwajaca, toczaca sie w bezliku przemian, stawaj i ziszczene — to wszystko jest uchwycone i nazwane, to wszystkiego nieustajaca przemienność i przelewnosc jest powiedziana w podmiocie, orzeczeniu, w przypadkach i koniugacjach.

Opedzajac sie od tych doznań, broniac przed ich naporem uczyla dzieci male i roztropne gramatyki, rachunkow, geografii — jakby to byly rzeczy zwyklye, jakby nie uczala od nich i nie dudnila straszliwa glębina rzeczywistosci.

Czasownik: być, jestem, jesteś. O zdumienie! Oto ujęta nazwą ta sprawa staje się ogromna, nieprzemierzona, przerastająca wszelkie

pojęcia, zachwycająca. Jestem, jesteś, jest. Jesteśmy, jesteście, są.

Mało tego dziś. Mówi się przecież ponadto: byliśmy, będziemy. Mówi się nawet: byliśmy! Ze też rzecz taka dała się pojąć i nazwać! Ze dała się zamknąć w słowo!

Uczyła tego cudu, dzieliła się z wciąż nowymi gromadkami dzieci ludzką zdobyczą. Wtedy poznała Dziańwę. Przeniknęła później w świat inny w którym to wszystko stało się po prostu przedmiotem elementarnego nauczania, niczym więcej. Wyjazd, uniwersytet, Roman, Gozba-Cienki, Uświacki, Słemię, krakowskie spotkania, rozmowy na Plantach, tamci ludzie. Zdziwienie zaczynało się nierównie dalej, zdziwienie i niezgoda na rzeczywistość. Rzeczka olśniewająca była



Rys. Marek Rudnicki

nieustanna przemiana. Ważny był świat, w którym człowiek wykrył stałe prawa, poprzez spleciony system skutków rzucił się do pracy. I oto uwiarył w swoją moc, postanowił sam odmienić rzeczywistość. Już teraz inne słowa obudziły zdumienie, otwierały perspektywy rzeczywistości nie tylko dające się ująć w terminy wciąż innych dyscyplin naukowych, ale włączając w obręb wielkich ambitnych zadań społeczeństwa.

Dlaczego myślały jej się dziś właśnie te myśli młodości, gdy widziała przed sobą wynędzniałe twarze dzieci nieśmiało nadchodzących z matkami od strony stodoły, niosących w rękach blaszane kwarty, małe dzbanuski. Te myśli młodości, które dziś były już tylko frazesami.

Gdy odeszły jeszcze ci zawiedzeni, dla których mleka zabrakło, Agata zwróciła się do oczekującej i wraz

z nią iść zaczęła rozległym podwórkiem w stronę dworu.

Wtedy nieznajoma powiedziała: — Ja jestem ta, która pisała do pani ten list. Rozwielska. — I dała jeszcze po chwili: — Honorata Rozwielska.

Agata przystanęła, popatrzyła. Powoli podała jej rękę, nic nie mówiąc.

— Ja tu przyszedłem do pani ze złą wiadomością — mówiła tamta, patrząc w ziemię. — Mnie jest bardzo przykro, ale pan generał nie żyje. Zginął.

Weszły już w bramę między nierównymi topolami. Chwilę trwało, nim Agata pojęła, że to słyszy.

— Zginął, kiedy się to wszystko wydarzyło z naszym szpitalem. Bomby tam leciały i jedna rozwal-

ła cały róg budynku. Potem zaczęło się palić. Już sama nie wiem...

Agata jeszcze milczała. Wtedy zamilkła i tamta. Przystanął na chwilę.

— Czy dawno? — spytała Agata.

— Jutro będzie dziesięć dni.

— Zginął... Czy pani przy tym była? Czy pod gruzami zginął, czy w pożarze?

Tamta milczała.

— Czy umarł od razu?

— O Boże, Boże! — cicho krzyknęła Honorata.

— Pani się pyta! A tam był taki huk, taki zamęt i taki koniec świata. Wszystko się waliło. Ludzie, żółka. Później dopiero zobaczyłam go, jak był zabity. Nie spalone, nie, tylko ranny w głowę.

Doszły do ganku.

— Janino! — zawołała Agata.

Targańcowa wyjrzała przez okno i zaraz później wyszła na ganek. Agata ukazała jej Honoratę Rozwielską.

TADEUSZ NOWAK

KOWAL

Cóż po tobie pozostanie?

Rudy sad w okwiatu pianie, wyrugane z drzewa drwono i zakłęty żar w bierwiono.

Dzisiaj głos twój w wiejskiej pieśni jak uschnięta gałąź skrzypi i już nawet mnie się nie śni, że w twym głosie metal kipi.

Gdy przyjeżdża ojciec do mnie i rozmowa sięga wspomnień, pytam, jak też kowal żyje? — I jak jeszcze! — za stu pije, z dzierlatkami wdowców swata i staruchom figle pata.

Taki był i taki został: kpiarz i bibosz jakich mało z mólch czasów ocalało, kiedy to strugami ciekła gdańska wódka rodem z plekła, lecz ty tego nie zrozumiesz, choć to przecież sprawa prosta.

Musisz wiedzieć, że w rzemiośle był to mistrz nad mistrze. Dla kościółów kul lichtarzy z grubej miedzi a tak zmyślnie wyćwał w nich pijackie twarze, że jak starzy ludzie bają — kowal zrobił karczmę z raju.

Trochę ciemna i ognista siła drzemie w tym bazaru, co nocami w kotłach warzył rudą miedź i rudy plasek, lecz ty tego nie rozumiesz, choć to sprawa oczywista.

Nie wiem o czym opowiadał ojciec dalej, bo śnieg padał i u okna cisza biała wyręczająca mnie słuchala.

Tylko jakby mi się śniła na wpół wieść i na wpół jawa, z drzwi otwartych luna biała i pod kuźnią rosla wrzawa. Nie pamiętam co się działo w owe dni u mej kołyski, tyle wiem, że błonie grzmiało brukowane podkowami, zanim ścieło krzyk bandosów pociskami.

I widziałem jak o świcie żandarm kolbą bil kowala, bo do buntu wies podpałał, chcąc odmienić jej psie życie.

A tyś ojcie zaprzepaścił w opowieści z dzwoneczkami twarz człowieka utajoną pod blizn korą i zmarszczkami.

Zofia Nałkowska

JERZY GRYGOLUNAS

Kamienne rzeźby

mu, powraca szybko jak depeza. Pewnie: można hodować ptaki w innym celu. Stopa jednak nigdy nie zabił żadnego ze swych wychowanków. Odkryłem w nim raczej ciekawość renesansowego inżyniera, obserwującego kilkaset lat temu lot dzikich gęsi nad ogrodami Florencji.

Zycie na wsi jest trudniejsze niż w mieście. Czułe uszy mieszkanców wiejskiego czynszowego domu rozpoznają bezbłędnie każdy niemal hałas, dobiegający zza cienkiej ściany sąsiadów. Wiedzą dobrze, kiedy szukają oni kapiel w bałi albo blaszanym cebrzyku, kiedy tną drzewo i rąbią węgiel. W lipcu roku pięćdziesiątego drugiego, a więc w czasie prowadzenia ostatnich robót przy wykarczaniu Placu Konstytucji, wieczorny spokój naszego mieszkanka przerywany był stukotami dochodzącymi z pierwszego piętra, zajmowanego przez rodzinę Stopy. Hałasy te przypominały uderzenia młotka szewskiego, ale były o wiele silniejsze.

Robotnicy, aby zdążyć do pracy na godzinę siódmą, wyjeżdżali z naszej osady zaraz po wschodzie słońca. Kilkadziesiąt minut spędzonych w wagonie kolejowym zamieniają w sen albo na rozmowy. W poniedziałek muszę być wcześniej w Warszawie, dlatego — podobnie jak Stopy — budzę się z pianiem koguta. Spotykamy się na podwórzu przy studni. Potem idziemy na stację i stojąc w szerokim oknie wagonu gwarzymy o rzeczach nam najbliższych. Stopy mówi: — W niedzielę wypuszczę Fasol-

kę. Wiatr wieje w twarz. Pytam: — Fasolkę? Czy nie za późno o-

plecie się na tyczkach?

— Przecież ja o gołębiu. Fasol-

ka jeszcze nigdy u mnie nie latała.

— Aha. A skąd ja masz?

— Dostałem od kuzyna z Wro-

clawia.

Stopy po chwili dodaje:

— A ty, co teraz czytasz?

— „Pamiętkę z celulozy“ Newer-

lego.

— Pożyczysz mi?

W dniach owych hałasów nad su-

fitem naszego mieszkania zapyta-

łem Michała:

— Czy ty zakładasz u siebie cen-

tralne ogrzewanie?

Małe, zielone oczy Stopy zanie-

mowały.

bokimi oczami. Michał leczył go. Zimna ręka miała zronąć się z ciałem posągu. Dłuto Stopy rzeźbiło w niej uchwyt dla drutów i cementu. Z niezmiennym, nieczułym na uderzenia młotka, wyrazem twarzy, mężczyzna spoglądał w stronę dwóch swych kamiennych towarzyszek. Na jedną rzecz nie zwróciłem początkowo uwagi. Gdy przglądałem się operacji, której poddawany był właściciel utraczonej ręki, Michał wymówił niełąca-

ce się z niczym zdanie: „tu go postawie“. Pokazał waski, ukryty występ przy nodze posągu. Schodząc po rusztowaniu, przypomniałem sobie, że właściwie nie wiem, co miał wtedy na myśli Stopy. „Tu go postawie“.

Wieczorem graliśmy na podwórzu w warcaby. Przegrałem trzy kolejne partie i byłem trochę zdenerwowany. Michał zachowywał się tak, jakby czuł się winny. Chęć mnie rozweselić, sęgnął do naszych wspólnych żołnierskich wspomnień. W końcu wybuchł śmiechem:

— A pamiętasz tego gołębia, którego nad Odrą znalazłem z odstrze-

loną nogą?

Bydłace muchy natrętnie gryzły

ciało. W momencie, kiedy chciałem

się już rozpoznać, jedna z nich

ukusiła mnie w ucho. Zakląłem. Po-

raz Michał siedział zasmucony. Po

chwili wstał i, nie odrywając się

do mnie, poszedł do swego miesz-

kanka. Myślałem, że się obraził i

żał mi się zrobiło towarzysza. Ale

nie, wrócił. Niósł pod pachą dość

duże zawiąniętą. Położył je na zie-

mi i przysiadł obok w kucki.

— Co tam masz? — zapytałem.

Michał uśmiechnął się.

— Centralne ogrzewanie.

— Co?

— Centralne ogrzewanie.

— Nie żartuj ze mnie.

— A pamiętasz rozmowę w po-

ciągu?

— Wtedy, co tak stukaleś w po-

dłogi?

— No tak.

Pod palcami wyczułem kamień.

Rozwinąłem papier i moim oczom

ukazał się biały kamienny gołąb.

Miał małą główkę, cienki dzióbek,

nawet pazurki na palcach mister-

nie były wyrzeźbione, skrzydła dłu-

gie, lekko zwinięte, ogon sztywny,

gotowy do lotu. Zdziwiłem się.

— Ty sam rzeźbiłeś?

Jerzy Grygolunas

MARIAN LISTOWSKI

Ankieta koszalińska

W województwie koszalińskim rozpisano za pośrednictwem nauczycieli polonistów ankietę wśród młodzieży szkolnej na temat czytelnictwa. Ankieta zawierała jedno pytanie: „Którą z przeczytanych książek cenisz najbardziej i dlaczego?”

Na to pytanie odpowiadała młodzież w wieku 13 — 19 lat. Nadeszło 1366 odpowiedzi z 15 szkół województwa koszalińskiego. Odpowiedzi omawiały 106 tytułów — wymienili 74 autorów. Najbardziej poczytnymi wśród młodzieży województwa koszalińskiego — tej młodzieży, która jest głównym odbiorcą książki — w wyniku ankiety okazały się: „Opowieść o prawdziwym człowieku” — Borysa Polewoja (269 głosów), „Młoda Gwardia” — Aleksandra Fiedjewa (266), „Matka” — Maksyma Gorkiego (202), „Jak hartowała się stal” — Mikolaja Ostrowskiego (158), „Kawaler Złotej Gwiazdy” — Semonia Babajewskiego (101), „Kolchida” — Konstantego Paustowskiego (95), „Szpak — ptak wiosenny” — Mstisławskiego (49), „Timur i jego drużyna” — Gajdara (41), „Daleko od Moskwy” — Ażajewa (37), „Opowieść o Zoi i Szurze” — Kscomedianskiej (32), „Syzyfowe prace” — Żeromskiego (26).

Są to książki w zdecydowanej większości z lektury szkolnej, choć nie brak głosów wymienających inne książki, nieobjęte lekturą szkolną, jak „Burza” — Ilija Erenburga, „Zorany ugor” — Szolchowa, „Poemat pedagogiczny” — Makarenki, czy „O człowieku, który się kulom nie kłaniał” — Broniewskiej.

Ponieważ wymieniliśmy wyniki ankiety w formie statystycznej, podając liczby wypowiedzi odnośnie tytułów poszczególnych książek, nie wolno pominąć wymowy tych liczb. O czym one mówią?

Mówią one, że młodzież czyta przede wszystkim książki, które są odbiciem wciąż idącego naprzód życia. Literatura radziecka reaguje szybko na dziejące się w Związku Radzieckim przemiany — i w tym leży tajemnica jej popularności również wśród młodzieży polskiej. Co więcej — liczby ankiety świadczą, że literatura radziecka zdobyła naszego młodego czytelnika.

„Na pytanie postawione w ankiecie — którą z przeczytanych książek cenisz najbardziej i dlaczego — nietłauto było mi odpowiedzieć. Chyba najbardziej cenię „Opowieść o prawdziwym człowieku”. Dlaczego? Dlatego, że ta książka uczy jak trzeba mieć charakter, żeby przejść przez życie jak prawdziwy człowiek” — píše Romana Kwiatkowska z Walcza. I ta odpowiedź jest bodaj najwymowniejsza. W niej zawiera się to, czego młodzież województwa koszalińskiego szuka w książkach i to co ceni w życiu.

Przemawiając na III Zjeździe Komсомоłu Lenin stwierdził, że jednym z największych nieszczęść, jedną z plag, które pozostały po dawnym społeczeństwie kapitalistycznym jest przepaść między literaturą a praktyką życia. Przypominając te słowa trzeba stwierdzić, że literaturze naszej brak jeszcze takich książek, które mówią o współczesności uczębyli młodzież korzystać w praktyce z doświadczeń bohatera powieści. Wróćmy jeszcze do tego tematu. Tymczasem przeprowadzając bardziej wnikliwą analizę odpowiedzi na ankietę musimy stwierdzić, że: — znaczna część młodzieży powoływała się na książki z obowiązkowej lektury szkolnej. Czy to jest źle? — Nie. Świadczy to o tym, że młodzież, nie zdając sobie z tego sprawy, dała ocenę części programów szkolnych, a wymieniając przede wszystkim książki z lektury szkolnej wskazała tym samym, że programy lektury są nieproporcjonalnie szczupłe w stosunku do jej potrzeb. Mamy już przecież pozycje tak cenne jak „Pamiętka z celulozy” — Igora Newerly, „Piątka z ulicy Barskiej” — Kazimierza Koźmiewskiego, czy „Pokolenie” — Bohdana Czeskiego. Niestety, żadnej z tych książek odpowiedzi nie wymienili, i należy mieć o to pretensję do pedagogów, którzy kierują życiem szkoły przez przysyłanie nauczycielom programów i zaleceń.

A oto wypowiedzi młodzieży o poszczególnych książkach: „Treść książki „Jak hartowała się stal” zmusiła mnie do mimowolnego porównania siebie z jej bohaterami. Żyć tak i walczyć jak oni — oto moje marzenie” — píše Maria Piątek z Koszalina.

Jeszcze głębiej ujmuje to zagadnienie Marianna Ośka ze Złotowa pisząc o książce „Timur i jego drużyna”: — „Nie mogę przecież robić tego samego co pionierzy radzieccy, ponieważ znajduję się w innych warunkach, lecz zawsze będę pomagać słabszym, będę wytrwała w nauce, sumienna w pracy. Chciałabym, żeby ta książka stała się drogowskazem w życiu moich kolegów, tak jak stała się dla mnie”.

Myśli wielu swoich kolegów i koleżanek wyraża Juliusz Sańko z Koszalina, który omawiając „Młodą Gwardię” píše: — „Nas zetempow- ców uczy ta książka przestrzegania czystości szeregów organizacji, uczy miłości ojczyzny i obowiązku bronięcia jej w razie potrzeby”.

Wielu chłopców i wiele dziewcząt daje w ankiecie ocenę książek ze strony ich praktycznej, konkretnej korzyści w życiu codziennym.

I tak np. Zofia Wójtowicz ze Złotowa píše: — „Książka pod tytułem „Jak hartowała się stal” wywarła silny wpływ na moje życie. Paweł Korczagin uczy mnie jak pokonywać trudności, zwłaszcza że moje są niewspółmiernie mniejsze — mam dogodną warunki do nauki”. Podobne stwierdzenie znajdujemy w wypowiedzi Felicii Orłowskiej, która omawia „Opowieść o prawdziwym człowieku” w słowach następujących: — „Ja o- sobiście odczuwam stały wpływ tej książki na moje postępowanie. Oczarowana silną wolą bohatera powieści starałam się kształcić swoją wolę poczynając od spraw łatwych do bardziej skomplikowanych”.

„Jak czuję się słaba to wracam do tej książki a zawsze znajduję w niej coś nowego, co mi imponuje i jednocześnie podnosi, umacnia wolę” — stwierdza Alicja Skupieńska z Koszalina. To samo píše Urszula Nabit z Miastka o tej samej książce: — „Gdy nie mam tyle silnej woli, by wypełnić powierzone mi zadanie, wtedy przypominam sobie Meresjewę uczącego się chodzić, i nabieram nowego zapału do pracy”.

A oto wypowiedź jednej z najmłodszych uczestniczek ankiety: Daniela Simonówna ze Złotowa tak píše na temat książki Arkadego Gajdara „Timur i jego drużyna”: — „Chciałabym brać przykład z tych chłopców, choć jestem dziewczynką. Zorganizowaliśmy w naszej klasie ruch timurowski. W ramach tego ruchu sprzątałymy szkołę. Pomagaliśmy w ten sposób woźnej, której mąż jest chory a ona obciążona liczną rodziną nie miała czasu nawet na sen”.

Niektórzy młodzi czytelnicy dawali w ankiecie wyczerpujące streszczenia i własne oceny. Zacytujemy fragmenty ich wypowiedzi, wybierając to, co najcenniejsze. Chodzi o wyszukanie granicy gdzie kończy się książka, a zaczyna życie. Wystąpiła ona wyraźnie w odpowiedzi Zygmunta Roli ze Złotowa, który omawiając „Młodą Gwardię” píše:

„Czytając ją myślałem, że i ja tam się znajduję razem z Olegiem Koszewojem. Słowami jego chcę odpowiedzieć niemieckim neofascystom: — „Nie wy jesteście straszni, wy już jesteście rozbici i skazani na zagładę. Straszne jest to, co was zrodziło i rodzi, choć ludzie od tak dawna istnieją już na świecie i osiągnęli tak promienne szczyty w dziedzinie myśli i pracy”. Oleg Koszewoj mówił: — „Żałuję tylko, że nie będę mógł dłużej walczyć w szeregach mojego narodu i całej ludzkości o sprawiedliwy uczyćli ustrój. Przesyłam swe ostatnie pozdrowienia tym, którzy o niego walczą... „To do nas przesłał pozdrowienie Oleg Koszewoj. To do mnie i do moich kolegów. Dziś w ławkach szkolnych, a jutro przy pracy, będziemy walczyć dotąd aż zwyciężymy. Za pozdrowienia przesyłamy bohaterom „Młodej Gwardii” męczonym w więzieniach i bohaterką śmiercią poległym to przyrzeczenie”.

Odpowiedzieliśmy dotąd na pytania: — kto czyta, co czyta, jak czyta i co ceni. — Poszukajmy odpowiedzi na pytanie: — co chce czytać?

Pod tym względem ankieta koszalińska niewątpliwie zainteresuje pisarzy i sekcje twórcze Związku Literatów Polskich. Właśnie pod adresem pisarzy skierowane są odpowiedzi ankiety wielu czytelników i czytelników.

Młodzież pragnie, aby pisarze wskazywali jej przez powieść, jak w Polsce w konkretnych warunkach budowy podstaw socjalizmu, można pracować nad sobą, jak, w jaki sposób można dobrze i coraz lepiej pracować w kolektywie, jak w naszych warunkach pracy w szkole, w fabryce, w kopalni czy na budowie, w POM-ie, PGR-ze czy w nowopowstałej spółdzielni produkcyjnej walczyć o ideały lepszego, szerszego życia?

Maria Szuryn z Polczyna: „Zdro- ju pisze na marginesie „Młodej Gwardii”: — „Chciałabym, i bardzo chciałabym, przeczytać książkę o tym, jak my walczyliśmy o te same ideały sprawiedliwości społecznej, o pokój, o socjalistyczną ojczyznę w warunkach budownictwa, nie wojny. Wiem, znam to z życia, a jednak nie wystarczy mi to. Taka książka pomogłaby mi obiektywnie stwierdzić czy i o ile sztańdar wywieszony przez bohaterów „Młodej Gwardii” ponieśliśmy dalej i wyżej? Co jeszcze potrzeba, abyśmy uczynili?”

Tę samą myśl wyraża Regina Zajączkowska z Miastka pisząc o książce „Timur i jego drużyna”: — „Timur daje nam przykład, że my, wszystkie dzieci polskie, mamy być odważne i wytrwałe. Timur wiernie służył i był pojecha swojej ojczyzny. I my również chcemy być odważni i wytrwali. Tylko nie umiemy”.

A oto co píše w zakończeniu swej wypowiedzi o książce L. Kscomedianskiej „Opowieść o Zoi i Szurze” Krystyna Zajączka z Walcza: — „Naszym zadaniem w szkole jest przede wszystkim nauka. A kiedy zasłabyła potrzeba, powinniśmy tak jak Zoya nie żałować ojczyźnie swego życia. Ale ja wiem

że Zoya walczyła o to, żeby taka potrzeba nigdy nie zaistniała. I dlatego chyba stoję teraz przed pytaniem — w jaki sposób mam naśladować Zoję kiedy ukończę szkołę? Ja ze swej strony chciałabym, aby w księgarniach, w czytelniach, w bibliotekach było więcej książek o takich bohaterkach jak Zoya. Gdyby która porwała mnie swym przykładem, w podobnych sytuacjach umiałabym ją naśladować. A potem chciałabym być lepszą, lepiej służyć Polsce socjalizmowi”.

Przytoczone tu wypowiedzi są również głosami młodzieży, która szuka dla siebie zawodu, która musi się zdecydować, w jaki sposób będzie mogła służyć ojczyźnie.

Młodzież chce widzieć i winna zobaczyć w warunkach budującego się socjalizmu w Polsce swojego bohatera przy tokarni, w szpitalu, przy krośnie, nad stołem kreslarskim, na traktorze czy w szkole. Takich głosów nie słyszało się w czasie gdy młodzież żyła echem wojny, rosła ona jednak, gdy młodzież żyje wizją swej twórczej pracy w dniu jutrzejszym. Tym ostrzej staje więc przed pisarzami konieczność spełnienia życzeń Reginy Zajączkowskiej czy Marii Szuryn.

Czerwona nicią przewija się przez ankietę koszalińską wołanie młodzieży o książkę współczesną. Zagadnienie to stawia Wiesława Skoniecka z Walcza pisząc po omówieniu „Syzyfowych prac”: — „Chciałabym żeby ktoś napisał książkę o Jędrzeju Radku w Polsce Ludowej, w szkole powszechnej na wsi, w drużynie harcerskiej, w gimnazjum i w internacie w mieście, w organizacji zetempowskiej. Przecież widzę tyle tych „Radków” choćby i w naszym mieście. Dlaczego nie pisać o nich, dlaczego nie przedstawiać nowej Polski Ludowej starej Polsce kapitalistycznej? O, to byłaby książka o nas! Jakże bym ją chętnie przeczytała. Ileż można by się z niej nauczyć, nie tylko o dniu wczorajszym, ale o tym najważniejszym — dzisiejszym i rzeczywistym”.

„Mamy takie postacie jak Janek Krasicki, czy Hanka Sawicka, żyli „Franki” Zubrzycki i Wandzia Zielenycki, której „Marsz Gwardii Ludowej” śpiewamy. Dlaczego o nich nie napisano powieści? Tego już nawet można żądać od polskich pisarzy” — píše Waldemar Pawłowski z Polczyna.

Waldemar Pawłowski ma w pewnym stopniu prawo nie znać jeszcze „Pokolenia” Bohdana Czeskiego i tę książkę trzeba mu wskazać. Ale „Pokolenie” nie wyczerpuje jeszcze zagadnienia. Słuszność leży w tym, że takich książek potrzeba więcej i tym szybciej, że żądają już tego niecierpliwi czytelnicy.

Młodzież pragnie czytać książki współczesne, które obrazowałyby najpełniej tradycje narodu polskiego, które pokazywałyby prawdziwe życie, młodzieży w okresie kapitalizmu, dlatego że nasza młodzież tego nie pamięta (bo nie może przecież pamiętać), ale winna znać.

Przed wszystkim jednak młody czytelnik żąda książki o współczesności, opisującej nasze wspaniałe budownictwo socjalistyczne, nową Warszawę i Nową Hutę, Starachowice i Częstochowę, FSC w Lublinie i koszalińską spółdzielnię produkcyjną, postacie socjalistycznego lekarza i nauczyciela, żyjących w Krakowie, w Chelmie, czy na pomorskiej wsi.

Z takich książek uczestnicy ankiety koszalińskiej chcą się uczyć jak żyć, jak trzeba mieć charakter, żeby przejść przez życie drogą godną prawdziwego człowieka.

Marian Listowski

KORESPONDENCJA

POTRZEBNY JEST SŁOWNIK WYRAZÓW OBcych

Jestem stałym czytelnikiem „Nowej Kultury” oraz „Życia Literackiego”, jednocześnie uczniem i pracownikiem administracji państwowej. Czytam pisma literackie, jak to się mówi „od deski do deski”, i natrafiam nieraz na wyrazy obce, które uniemożliwiają mi pełne zrozumienie tekstu.

Oto przykład kilku takich wyrazów obcych, napotkanych w wyżej wspomnianych czasopiśmie: oscyluje, permanentny, neurastenia, efemeryczny, immanentny, emanacja i wiele innych.

Czytelnikowi pracy trudno jest te wyrazy zrozumieć tym bardziej, że słownika wyrazów obcych nie można prawdopodobnie nabyć w całej Polsce.

Czy Redakcja nie mogłaby pomóc nam, młodym i starszym uczniom w naklonieniu wydawnictw do wydania tak potrzebnego słownika wyrazów obcych?

Stefan Hudziak Głubczyce

„ŚCISŁE INFORMACJE”

W ostatnim czasie pojawił się na półkach księgarskich wybór pism E. Orzeszkowej, wydany nakładem „Książki i Wiedzy”. Wydawnictwo takie winno podawać ścisłe informacje. Tymczasem w objaśnieniach do korespondencji z Iwanem Franko czytamy, że Iwan Franko był wielokrotnie przesładowany przez carat. Jest to zupełnie nieścisłe, gdyż Iwan Franko spędził całe życie na terenie c. k. Austro-Węgier, nie był nigdy w Rosji, nie mógł więc być przesładowany przez carat. Natomiast wskutek wybitnie lewicowych poglądów politycznych Franko — nie dopuszczono go do Katedry uniwersyteckiej, o którą słusznie zabiegał.

Jerzy Wiksel Oświęcim

Komedii Ludzkiej. W *Kapitale* pisał o *Chłopach*: „W swojej ostatniej powieści *Chłopi* Balzak, w ogóle ujmując doskonale realne stosunki, trafnie przedstawia, jak drobny chłop dla zachowania żyćliwości swojego lichwiarza wykonuje dlań za darmo wszelkie roboty i sędzi, że w ten sposób nie mu nie daruje, ponieważ jego własna praca nie kosztuje go wydatków w gotówce. Lichwiarz ze swej strony jednym uderzeniem zabija dwie muchy. Zaozczędza wydatku w gotówce na płacę robotniczą i zapłatę chłopu, którego stopniowo rujnuje odrywanie go od pracy na jego własnym polu, coraz głębiej w sieć lichwiarskiej pajęczyny”. Nie bez powodu też Marks często powoływał się na Balzaka w swoich dziełach — w *Kapitale*, w *Osiemnastym Brumairze* — i wspominał o nim w listach do Engelsa. To samo kryterium oceny podkrytykował Markowski ujemny sąd o *Tajemnicach Paryża* Eugeniusza Sue w polemice z młodoheglistą Szeliągą (*Święta rodzina*). Wypominał tam Sue’owi przede wszystkim lekceważenie realnych stosunków życiowych i ich wpływu na przeżycia i rozwój bohaterów powieści. Wykazał jak Sue uległ swojej utopijnej, drobnomieszczańskiej tendencji, narzucając z zewnątrz lud wprost przykrejonej do utworu, jak spekulacyjna metoda autora przekształcała „prawdziwych ludzi w abstrakcyjne punkty widzenia”.

Wśród pisarzy rosyjskich szczególnie zainteresowanie Marksa wzbudzał Puszkina, którego *Oniegin* autor *Kapitału* cytował w *Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej*. Twórcy socjalizmu naukowego podziwiali również prace rewolucyjnych demokratów, zwłaszcza Dobrolubowa i Czernyszewskiego, których Engels nazwał „dwoma socjalistycznymi Lessingami” (*Literatura uchodźców*). W liście do Engelsa z dnia 5 lipca 1870 roku Marks z przejęciem píše o tragicznym losie Czernyszewskiego, skazanego na ośmiat lat pracy przymusowej w kopalniach Syberii, a w liście z 12 grudnia 1872 roku komunikuje Danielowski: „Chcę” coś wydrukować o życiu, osobie itd. Czernyszewskiego, aby wzbudzić dlań sympatię na zachodzie. Do tego potrzebne mi są daty”. O szacunku, jaki Marks odczuwał dla postępowych pisarzy i publicystów rosyjskich, świadczą wreszcie jego słowa, skierowane do członków Komitetu sekcji rosyjskiej I Międzynarodówki w Genewie (w piśmie z 24 marca 1870 roku): „Takie prace jak Flerowskiego i Waszego nauczyciela Czernyszewskiego sprawiają rzeczywiste zaszczyty Rosji i dowodzą, że Wasz kraj zaczyna brać udział w ogólnym ruchu naszego stulecia”.

Z minionych epok mają dla Marksa szczególny urok trzy okresy historyczne, które gwałtownie po- pchnęły naprzód myśl ludzką: okres antyczny, Odrodzenie i Oświecenie. Stąd zamilowanie Marksa do wielkiej epiki i tragedii greckiej, która znalazła najwspanialszy wyraz w dziełach Homera i Ajshylosa. W epoce Odrodzenia, którą Engels nazwał „największym postęp- powym przewrotem, jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła”⁶⁾, uwagę Marksa absorbują wciąż trzej geniusze reprezentujący trzy narody: Dante, Cervantes i Szekspir. Marks i Engels uważają w szczególności twórczość autora *Hamleta* za niezrównany przykład literatury realistycznej i poświęcają jej w swoich dziełach wiele miejsca. W debacie nad tragedią Lassalle’a „Franz Sickingen” Marks stawia Lassalle’owi za wzór Szekspira, którego realistyczną metodę kształtowania konfliktów społecznych, a także społeczną konkretność w ujmowaniu problemu tragizmu, przeciwstawia abstrakcyjno — demokratycznemu patosowi dramatu schillerowskiego. O znaczeniu, jakie twórcy naukowego socjalizmu przywiązywali do epiki Oświecenia, mówią słowa Engelsa: „Wielcy meżowie, którzy we Francji oświecali umysły dla nadchodzącej rewolucji, występowali sami na wskroś rewolucyjnie. Nie uznawali żadnego autorytetu zew-

Marka wśród twórców

(Dokończenie ze str. 3-ej)

6) Wstęp do *Dialektyki przyrody*. Marks, Engels „Dzieła wybrane”. Książka i Wiedza, Warszawa 1949. T. II. Str. 52.

7) Wstęp do *Anty-Dühringa*. Fryderyk Engels „Anty-Dühring”. Książka i Wiedza, Warszawa 1948. Str. 23.

8) Marks, Engels „Ideologia niemiecka”.

Z fraszek, klasycznych

GEORG HERWEGH

„XENIE”

Ze stryczka Judasza utkano wstążeczkę dla tego z bezecznych lotrzyków, który zaprzadał ojczyznę niemiecką za cenę trzydziestu kraków.

ZWIERZĘCA POEZJA

Cóż za dzieje osobliwe, Jakie czasy, dzwiny mody! Bo pomyśleć: dziś zajace o lwach piszą u nas ody.

PANEM, NON CIRCENSES!

„Chleba!” — lud wołał, a wysłał ludowi dał kamienie; Powiedzieć książę, czy jest to w myśl chrześcijańskiej zasady? „Chleba!” — lud wołał, a wtedy mędry dociekał zaczął, Orzkieli: kamień jest tylko i innej nie ma tu rady. „Chleba!” — lud wołał, a wtedy zebrały się władców zespoły i znów przynieśli kamienie, by z nich budować kościoły.

Przełożył z niemieckiego Mieczysław Opalek

U PRZYJACIOŁ

„POPRAWKI HISTORYCZNE” BOHATEROWIE „POEMATU PEDAGOGICZNEGO” O MAKARENIE

W jednym z ostatnich numerów miesięcznika „Nowy Mir” znajdujemy wspomnienia Makolaja Fere, bliskiego współpracownika Antoniego Semionowa, autora „Poematu pedagogicznego”. Fere — w książce występuje on jako agnion Edward Szere — píše o swej pracy na kolonii im. Gorkiego. Między innymi przytacza fakty, dowodzące bezgranicznego przywiązania kolonistów do swego kierownika. Pewnego razu (było to w roku 1924) Makarenko wyjechał do Polawy, w południe zaś tego samego dnia na kolonię przybyli samochodem dwaj dygnitarze. Byli to: inspektor Władisław Osłatyn i Szarin i przewodniczący Gubernialnego Wydziału Kontroli — Czernienko. Szarin zażądał od dyżurnego wychowawcy Popowiczko (w książce występuje on pod nazwiskiem Osipowa), by zaprowadzono go do gabinetu kierownika. Tam osiwiadczył, że Makarenko jest aresztowany i na kolonię nie wróci. Inspektor otworzył biurko Makarenki, wyciągnął z szuflad wszystkie papiery i kazał osłupiałemu wychowawcy podpisać akt przyjęcia kierownictwa kolonią.

Myszkując w pobliżu gabinetu wychowankowie z bliskąwianą szybkością roznieśli po kolonii wiadomość o aresztowaniu kierownika. Była to pora, gdy większość kolonistów pracowała w polu, na kolonii pozostała sama „malcy”. Wórn, nierz, był też Suprun (Bubun). Uważano go za chłopców, czego i spokojnego, trudno było wyprzodzić go z równowagi. Suprun zebrał natchniami kolonistów i cała gromada wpadła do gabinetu. Chwytliwy Szarin za klapy płaszcza Suprun zaczął urządzić inspektorowi z całej siły. „Ciebie zrobili z naszym Antonim?” — krzyknął oburzony chłopcy. Na widok groźnie zacisniętych pięści kolonistów obaj „goście” zaczęli cofać się ku drzwiom. Przewidyując kierownika, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ścieżce. Trudno przewidzieć jaki los spotkały Szarina i Czernienko, gdyby kierownica nie rzucił swej kurtki pod ślizgające się koło i nie umknął w ostatniej chwili z omalbyli ze strachu pasażerami. Ze złości chłopcy porwali na strzępy włówaną kurtkę kierownicy, która dostała im się jako trofeum. Pomknęli dalej, w stronę Poltawy. A Makarenko znajdował się już w drodze powrotnej na kolonię. Z aresztu zwolnił go naczelnik miasteczka, który ugrzązł w wąskiej ś

GEORGE SADOUL

Ameryka odkryła kinematografię „trójwymiarową“

(Artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Kultury“)

Wczesną wiosną 1953 roku w Hollywood zapanała panika, którą można jedynie spowinować z paniką spowodowaną wynalazkiem filmu dźwiękowego w jesieni 1928 r. Tym razem panika ta ukrywała się pod kryptonimem „3 D“ — tak Amerykanie nazywają filmy „Three Dimensions“ (trójwymiarowe). Trzeba dodać, że jeśli finansyści z Wall Street, mocodawcy Hollywood zwracają się obecnie do nowych pomysłów technicznych, to powodem takiej polityki jest nierotowany kryzys kinematografii. W 1945-6 liczba widzów kinowych doszła do szczytu, ale od tego czasu liczba ta corocznie gwałtownie spada o kilkaset milionów biletów. „Eksperci“ oskarżają telewizję o niezdrową konkurencję, biorąc pod uwagę 20.000.000 abonentów telewizyjnych w 1953 roku, ale slogan, który rzucił Hollywood, aby ponownie ściągnąć widzów do kin, świadczy o czymś przeciwnym. Slogan ten brzmi: „Filmy są lepsze niż kiedykolwiek“! Publiczność odwraca się bowiem od produkcji, Hollywood opierającej się na scenariuszach sadystycznych, pornograficznych, szerzących pesymizm. Filmowa propaganda wojenna odpycha większość publiczności. Na tym polega obecny kryzys Hollywood szuka wyjścia z kryzysu lansując nowy system techniczny (będący rewelacją w rodzaju dźwięku) — system „3 D“. Idzie tu o dwa odrębne wynalazki, o kino stereoskopowe dające złudzenie trzech wymiarów i o kino panoramiczne, polegające na zmianie używanego dotychczas obiektywu i ekranu.

Pismo branżowe „Motion Picture Herald“ stwierdziło jeszcze w lutym, że aby otrzymać wrażenie

trójwymiaru konieczne są specjalne okulary i że nigdy nie będzie można uzyskać technicznie wrażenia trójwymiarowości na ekranie bez z użycia okularów. Wystarczy to do stwierdzenia jak zadowolony są dzisiaj dziennikarze i technicy amerykańscy. Kuźdy z nas wie, że w Moskwie istnieje od roku 1940 kino stereoskopowe, w którym ogląda się filmy trójwymiarowe bez pomocy okularów, dzięki systemowi stereoskopowemu Iwanowa.

Filmy „stereoskopowe“ amerykańskie wymagają okularów i opierają się na systemie znanym od... stu lat. W 1850 roku Henryk Almyda wyświecił po raz pierwszy równocześnie na jednym ekranie dwa przeziarcia. Jedno z nich w kolorze czerwonym odpowiadało „punktowi widzenia“ prawego oka, drugie — zielone — przystosowane było do lewego. Dzięki okularom, w których lewe szkło było czerwone a prawe zielone, powstawał w oku widza jeden obraz jednobarwny (czyli czarno-biały) dający złudzenie trójwymiaru. Filmy trójwymiarowe, oglądane przy pomocy okularów wyświetlane były przed wojną w stołecznych państwach europejskich (m.in. w Warszawie p.n. „Audioscopes“ — przyp. tłum.), ale ich powodzenie było krótkotrwałe. Patrzenie na te filmy wyczerpywało widza po kilku minutach. Wreszcie system ten uniemożliwiał realizację filmów barwnych. Były też próby zastąpienia okularów dwubarwnych innymi okularami poloidalnymi, ale nowy ten system wypróbowano dopiero w roku 1950.

Okulary te były pozornie bezbarwne, jednak dzięki specjalnemu szlifowaniu szkła, jedno z szkieł przepuszczało tylko obraz przeznaczony dla lewego oka, drugie dla prawego. Ten włoski system

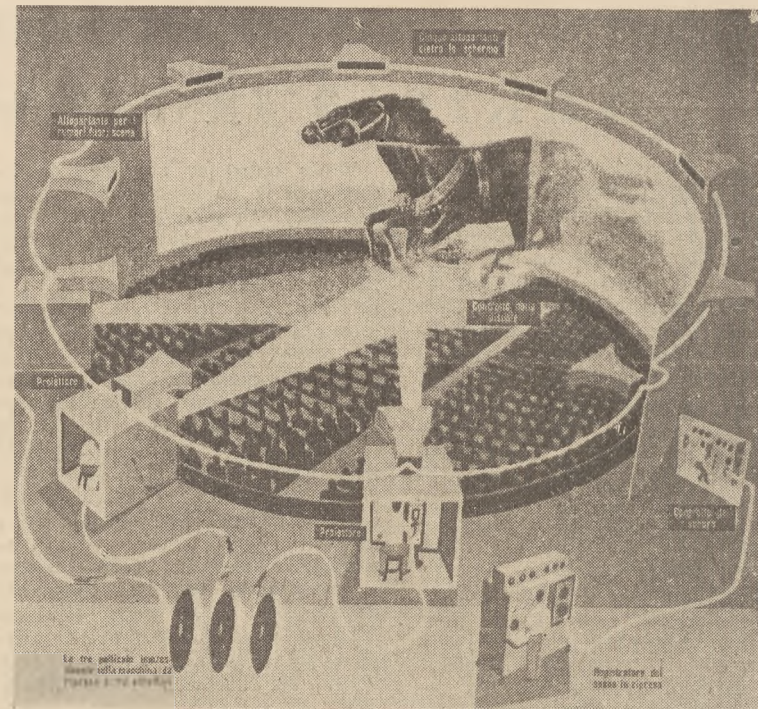
został zademonstrowany na festiwalu filmowym w Wenecji w roku 1949, ale nie znalazł szerszego zastosowania. Włochy nie produkują... szkła polaryzowanego. Okulary mogły więc być zamawiane jedynie w Chicago. Koncern chigowski zażądał 3 dolarów za jedną parę, utrzymując tę wygórowaną cenę włoski wymalzek.

Tymczasem na Węgrzech w 1950 roku podobny system techniczny został zastosowany do filmów dokumentalnych, które można oglądać w jednym z kin Budapesztu. W tym samym roku na festiwalu w Wielkiej Brytanii film trójwymiarowy stał się atrakcją dla publiczności. Wynalazca Raymond Sportswode używał także okularów ze szkłem polaryzującym. Krótkometrażowe filmy dokumentalne cieszyły się przez pewien czas powodzeniem w niektórych „ciach europejskich, były jednak wyświetlane tylko w niewielu, wyspecjalizowanych kinach. Przyznajemy się do sensacji i zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, publiczność nie miała ochoty zakładania skomplikowanych okularów aby oglądać przeważnie liche programy. Wreszcie i Ameryka „odkryła“ szkła polaryzujące. W ostatnich miesiącach 1952 roku wyświetlano w Nowym Jorku film „trójwymiarowy“ „BWANNA DEVIL“. System zastosowany w Ameryce został nazwany „Naturalvision“ — przez jego twórcę Edwina H. Landau. Film odbywał się w dżungli, zawierał sceny sensacyjne o podłożu erotycznym. Cieszył się on dużym powodzeniem w Nowym Jorku, zaś obecnie z niemiejszym idzie na prowincję. Jednakże konieczność używania okularów przedkłada zmięknienie publiczności i „BWANNA DEVIL“ pozostanie atrakcją jednego sezonu. Widząc trudności,

jakie powoduje oglądanie filmów przy pomocy specjalnych okularów, businessmeni amerykańscy wybrali film panoramiczny.

Film panoramiczny pokazano w Nowym Jorku pod koniec 1952 roku. System nazwany Cinerama miał z miejsca duże powodzenie. Mimo wysokiej ceny miejsc, sala wyprzedana jest na kilka miesięcy naprzód. Po 4 miesiącach wyświetlania jedynego kina zaopatrzono w ekran panoramiczny sprzedano 500.000 biletów. Jednakże i ten system nie ma szans przyjęcia się poza kinematost wyspecjalizowanymi salami. Wyświetlił się bowiem na ekranie mającym wymiary trzy razy większe od dotychczas używanego, równocześnie trzy filmy z trzech różnych aparatów. Aby wszystko „grało“ potrzebnych jest 26 operatorów!!! Wysoki koszt produkcji oraz obsługi uniemożliwia szersze zastosowanie wynalazku. Cinerama nie jest jednak ani wynalazkiem amerykańskim ani nawet... nowością! Już w czasie wystawy pańskiej w 1900 roku wynalazca GRIMOIN SANSON demonstrował (bez wielkiego powodzenia) swój system cinerama. (Po polsku nazwa właściwa brzmiałaby „Kinorama“ — analogia do „Panorama“ — przyp. tłum.) Sanson używał 6 aparatów projekcyjnych oraz ekran półokrągły, w którego kole siedzieli widzowie. Dzięki tej cinerama, która zajmowała połowę sali widzowie mieli złudzenie, że unoszą się w balonie na Placu Zgody, aby następnie oglądać Brukselę, Barcelonę, Southampton, Tunis itd.

W 1927 roku Abel Gance dla swego znanego filmu „Napoleon“ ulepszył system Sansona, umieszczając jedynie trzy pary aparatów i potrójny, wklęsły ekran. System



Tak Amerykanie wyobrażają sobie „cinescope“. Tak jednak nie jest, gdyż ekran panoramiczny nie daje wrażenia trójwymiaru. Jedynego kina trójwymiarowego istnieje nadal w Moskwie.

ten był identyczny z systemem „amerykańskim“, „odkrytym“ obecnie. Dzięki niemu mógł Gance umieścić swych wizerunków niejak „w środku“ tłumowi żołnierzy napoleońskich, idących na Italię. Lecz ta atrakcja ograniczona do jednej tylko dużej sali kinowej paryskiej — nie miała przyszłości. Aby wynalazek ten mógł przetrwać sześć lat, trzeba było zgrupować trzy pary projektorów systemem obiektywów, umieszczonych przed normalnymi projektorami. Problem ten rozwiązał w 1935 roku prof. Chretien, optik francuski, nadając swemu wynalazkowi nazwę „HYPERGONAR“.

Hypergonar to specjalny obiektyw, dzięki któremu obraz nakręcany na taśmę z węża a się trzykrotnie, a wyświetlany na e-

kran rozszerza w tych samych proporcjach, czyli widać do normy. Aby zrozumieć zasadę tego wynalazku wystarczy wspomnieć lustro w „wesołych miasteczkach“ rozciągające lub zwężające postać człowieka.

Gdyby naprzy wko lustro zwężającego postać postawić inne rozszerzające ją w tej samej proporcji — człowiek w tym drugim lustro przybrałby znowu normalne rozmiary. Obiektowy system hypergonar wykonują to samo zadanie z węża a się a ; q c w chwili filmowania i poszerzając w chwili wyświetlania.

System hypergonar wykorzystany był przez reżysera Claude Auta i Lara w roku 1927. Reżyser nakręcił wtedy krótkometrażowy film według noweli Jacka Londona. Film wyświetlany w 1930 roku był ciekawostką, ale przedko poszedł w zapomnienie... aż do lutego 1953 roku.

15 lutego 1953 roku kapitalistyczne agencje prasowe rozpowszechniły następującą nowinę: Wielki przemysłowiec amerykański Spiros Skouras, właściciel „20th Century Fox Film Corporation“ przyjechał do Nicei, aby tam spotkać się z osiemdziesięcioletnim starcem profesorem Chretien. Wynalazca francuski sprzedał w tym dniu Fox wyłączonego swego systemu „Hypergonar“. Dzięki francuskiemu uczonemu i wynalazcom przez niego obiektywom, firma amerykańska — jedna z najpotężniejszych w Hollywood — otrzymała wyłączne prawo realizacji filmów panoramicznych 18 filmów „Cinescope“ (system filmowy używający obiektywów hypergonar) znajdując się w realizacji w studiach Foxa.

Wall Street natychmiast zareagowała na tę nowinę. W przeciągu jednego dnia akcje wytwórni FOX sprzedawane po 11 dolarów, skoczyły na 22 dolary, a więc wartość ich wzrosła o 100 proc. Równocześnie wielkie banki amerykańskie, rządzące Hollywood, ogłosiły, że nie będą kredytować budowy kin oraz urządzeń technicznych sal nie przystosowanych do „Cinescope“.

Równocześnie FOX ogłosiła, że pierwszym filmem panoramicznym o budżecie 2.000.000 dolarów będzie film „Sutanna“ („The Robe“).

Panika „3 D“ szybko przerzuciła się na Europę Zachodnią. System „cinescope“ pozwala na przekurpowanie zwykłych sal kinowych na nową technikę przy niewielkim koszcie. Jeśli system „cinescope“ tak „chwyty“, jak swego czasu dźwięk, pozwolił Hollywood na zmniejszenie kosztów ekranów Europy zmarszalizowanej, głównie w Anglii, Francji i we Włoszech. Jasne jest, że cedując Europie prawo realizacji filmów „cinescopowych“ Hollywood nie tylko narzuci nadzwyczaj wygórowane koszty, ale postawi warunki ekonomiczne i polityczne kontrolowanej przez siebie produkcji. Hollywood starac się będzie, by wyeliminować z Europy zmarszalizowanej kinematografię postępową.

Obawy te są realne. Nie należy jednak przesadzać stanu zagrożenia. Jest jeszcze za wcześnie, aby wnioskować, czy sukces kinematografii panoramicznej będzie tak niewątpliwym jak sukces filmu dźwiękowego. Można mieć pewność, że publiczność francuska czy włoska będzie nadal wolała kinematografię postępową od kinematografii propagującą wojnę i śmierć — mimo jej atrakcyjnych osiągnięć technicznych (wielka wystawa, kolor dźwięk). Wszystko wskazuje na to, że wola ludu francuskiego i włoskiego przeszkodzi Hollywood w zmniejszeniu rymu filmowego zarówno w Rzymie jak i w Paryżu.

tłumaczył Leon Bukowiecki

nożyce

JANUSZ MINKIEWICZ

WEDŁUG W. BACHNOWA I J. KOSTIUKOWSKIEGO

Był sobie dyrektorek...

Klaniają mu się wszyscy nisko, Na wygląd władczy, głos tubalny I zwykły w rubryce „Stanowisko“ Pisać: „Dyrektor teatralny“.

Najpierw w Warszawie rządził scenka, Dyktuje tu przez sezon, Tu swoją twardą, władczą ręką Kładzie imprezę za imprezą. A w tych imprezach dyrektorka Gra jego żona, zła aktorka...

Na skutek faktów tych, centrala, Do Łodzi przenieść go uchwała.

W Łodzi, w teatrze dyrektorka Gra jego żona, zła aktorka. Dyrektor łódzki rządzi scenką, Dyktuje tu przez sezon I swoją twardą, władczą ręką Kładzie imprezę za imprezą.

Na skutek faktów tych, centrala, Do Gdańska przenieść go uchwała.

W Gdańsku, w teatrze dyrektorka Gra jego żona, zła aktorka. Dyrektor gdański rządzi scenką, Dyktuje tu przez sezon I swoją twardą, władczą ręką Kładzie imprezę za imprezą.

Na skutek faktów tych, centrala, Za karę przenieść go uchwała Do Gdyni, potem do Lublina, Do Częstochowy, do Szczecina, Do Bielska, Kłódzka i tak dalej...

Dyrektor w każdym mieście scenkę Kolejno włada jeden sezon I swoją twardą, władczą ręką Kładzie imprezę za imprezą. A w tych imprezach dyrektorka Gra jego żona, zła aktorka.

Centrala się w łysiny draple: Już zbrakło nowych miast na mapie.

Jedynę wyjście z całej sprawy: Z powrotem wziąć go do Warszawy.

I wszystko dzieje się d a c a p o: Znow szuki kładzie on swą łapą, A w owych sztukach dyrektorka Gra jego żona, zła aktorka.

Aż nagle przejrzał ktoś w centrall: Za głowy wszyscy się złapali: — To nonsens był. Najwyższa pora Usunąć tego dyrektora. Należy przenieść go, u licha, Gdzieś na niższego urzędnika.

I tak logicznym rzeczy torem, Na niższe idą stanowiska: Wraz z mężem, byłym dyrektorem, Małżonka jego, zła artystka...

OD AUTORA:

Ujrawszy to opowiadanie, Centrala prześle sprostowanie: „Fałsz i nieprawda to, jakoby Czyjaś dymisja była bliska I wzmiankowane tu osoby Na niższe przejdą stanowiska“.

„Chcemy podkreślić to z uporem“. Brzmieć będzie dalej sprostowanie. „Że kto choć raz był dyrektorem, Ten nim na zawsze pozostanie“.

Sklamałem.

Owszem.

Gdy się w mentorskie bije tony, Lecz cała akcja jest prawdziwa, Tylko jej finał jest zmyślony.

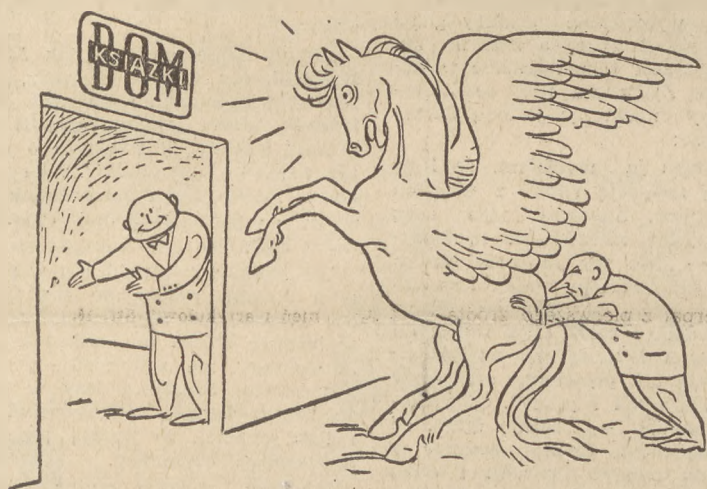
Prawdę zawiera list z centrall. Poeto.

Wiersz swój zniszcz lub spal. Dymysji żadnej mu nie daj...

A żal.



Rys E. Lipiński



Pogrzeb dęba!

Rys Jantar



Ratunku! Iksiński znow zabiera się do tłumaczeń! Rys Ibis

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Rys. E. Lipiński

Na jubileusz w Madrycie przez szczekaczkę urządzony Józefowi Łobodowskiemu niegdysiejszemu pocie

Mój wieszczu, dziś podwójnie liczy się twoje dzieło. Bo pod skrzydełkami Dwójki ongi się poczęło I choć nie napisałeś „Kordiana“ żadnego Był ci Kordian-Zamorski Alfa i Omega. W Madrycie twój żandarmski Pegaz pięknie parska, Żandarmskie plodzi rymy muza twa żandarmska Niech Franco tobie brzęczy wypelnionym trzosem Za to, że każdy wiersz twój nadal jest donosem Jubilate, coś mówię ukochał „włazaną“ Przez cenzurę hiszpańską, składał ci życzenia: Niech muświe ci wino taką samą planą, Jaką miewasz na ustach podczas przemówienia.



Redakcja /-epol

Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32, I p Tel. 886 11 Adres administracji: Warszawa, ul. Wileńska 12, tel. 800 0

Kolportaż P P K „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4,60, kwartalnie zł 13,80, półrocznie zł 27,60, rocznie zł 55,20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejski Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“ Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589 tel. 8 23 09 Reklamy niezmierzonych redakcji nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wkiesłodrukowe RSW „PRASA“ Warszawa, Marszałkowska 3/5.

4-B-16110